

Poul Anderson

Sargasy zaginionych statków

(Sargasso of Lost Starships)

Planet Stories, January 1952

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z Internet Archive.

© Public Domain

This text is translation of the novella "Sargasso of Lost Starships" Poul Anderson, published in Internet Archive, 2010-04-13, url:

<http://www.archive.org/details/SargassoOfLostStarships>,

under Creative Commons license: Public Domain,

<http://creativecommons.org/licenses/publicdomain/>

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

1

Basil Donovan znowu był pijany.

Siedział na odchylonym do tyłu krześle, z nogami na stole, w pobliżu otwartych szeroko drzwi Golden Planet. Jedną ręką spoczywała na potężnych barkach rozwalonego obok na podłodze Wochy, a w drugiej trzymał kufel ale. Miał na sobie mocno rozchełstaną tunikę, założoną na poplamioną szarą koszulkę. Wymięta czapka na krótko obciętych jasnych włosach mocno się przekrzywiła, a kapitańskie gwiazdki i srebrne listki earla z Ansa, niemal zupełnie już zmatowiały. Na jego bladych, wychudzonych policzkach pojawił się coraz głębszy rumieniec, a w oczach zatliła się dawna wściekłość.

Wyglądał na zewnątrz, gdzie po drugiej stronie brukowanej ulicy, widać było jeden z wysokich, zbudowanych częściowo z drewna domów, typowych dla Lanstead. Jakoś udało mu się przetrwać bombardowanie z kosmosu, chociaż otaczające go sąsiednie budynki zamieniły się w gruzy, ale pokryty dachówkami dach był tylko prowizorycznie połatany, a potłuczone plastikowe szyby okien, zastąpione zostały nasączonym olejem papierem. Ten anachronizm górował nad wielkim buldożerem, oczyszczającym gruzowisko na sąsiedniej działce. Zatrudnieni tam robotnicy, to byli głównie Ansanie, wielcy mężczyźni w obszarpanych ubraniach, ale ich pracą kierował dobrze ubrany Terranin. Donovan zaklął zmęczonym głosem i ponownie uniósł trzymany w ręku kufel.

Podłużna, sala barowa, ze smolnych bierwion, była pełna — pustooicy mieszczanie i chłopci z Lanstead, zwolnieni ze służby marynarze ze statków kosmicznych, ciągle chodzący w swoich zniszczonych mundurach, paru ogoniastych greenie z sąsiedniej planety, Shalmu. Rozmowy były ciche i pozbawione energii, a unoszący się z fajek i papierosów dym, gorzki. Tani tytoń i wysuszona kora drzewna. W tawernie dawało się wyczuć gęsty i ciężki zapach klęski.

– Czy mógłbym usiąść tutaj, sir? Nie ma wolnych innych miejsc.

Donovan popatrzył do góry. To był młody mężczyzna, z wypisanym na opalonej twarzy chłopskim rodowodem, pomimo szarego munduru i pustego rękawa. Olman, tak, Sam Olman, którego rodzina od dwustu lat mieszkała w lennach Donovanów.

– Pewnie. Siadaj, czuj się jak u siebie w domu.

– Dziękuję panu, sir. Zaszedłem tutaj, żeby zdobyć jakieś zapasy, miałem też nadzieję, że będą mieli piwo. Ale w dzisiejszych czasach niczego już nie można kupić. Nic nie zostało.

Sam spoglądał na arystokratę, i jego twarz przybrała wyraz lekkiej nadziei.

– Pilnie potrzebujemy silnika gazowego, sir, do traktora. Teraz, kiedy centralny emiter energii przestał działać, musimy mieć własne silniki. Nie chciałbym być nachalny, sir, ale...

Donovan uniósł jeden kącik ust, w zmęczonym uśmiechu.

– Bardzo mi przykro – odparł Olmanowi. – Byłbym zadowolony, gdyby dla całej społeczności udało mi się zdobyć choćby jedną maszynę. Nic się nie da zrobić. Próbuje w rezydencji uruchomić małą fabryczkę naszych własnych silników, ale idzie to bardzo powoli.

– Jestem pewien, że jeżeli ktokolwiek może cokolwiek zdziałać, to będzie to pan, sir.

Donovan spojrzał ze zdziwieniem, w otwartą twarz, siedzącego po drugiej stronie stołu człowieka.

– Sam – spytał go, – dlaczego ludzie ciągle zwracają się z różnymi sprawami do Rodziny? Przewodziliśmy wam i zakończyło się to klęską. Dlaczego w ogóle chcecie mieć

jeszcze coś wspólnego ze szlachtą? Nawet już nią nie jesteśmy, już nie. Zostaliśmy odarci z naszych tytułów. Jesteśmy teraz zwykłymi obywatelami Imperium, tak jak wy, a naszymi nowymi władcami są Terranie. Dlaczego ciągle myślicie o nas jako o waszych przywódcach?

– Ależ wy nimi jesteście, sir! Zawsze byliście. To nie była wina króla, ani jego ludzi, że Terra ma o wiele większe zasoby, niż mieliśmy my. Ale wydaliśmy im walkę, której tak szybko nie zapomną!

– Byłeś w moim dywizjonie, nieprawdaż?

– Tak jest, sir. Byłem głównym matem na *Ansa Lancerze*. Walczyłem pod pana dowództwem w bitwie o Lugę. – Jego głęboko osadzone oczy pojaśniały. – Daliśmy im tam popalić, co nie, sir?

– Było tak, było.

Donovan nie mógł powstrzymać nagłego, gwałtownego zalewu wspomnień. Dużo mniej liczni, z dużo mniejszą siłą ognia, połowa ich statków postrzelana rozlatywała się na kawałki, a połowa marynarzy była chorych na gorączkę Syriusza. A mimo to Królewscy z Lanstead weszli do historii marynarki wojennej i odesłali Imperialną Flotę z podkulonymi ogonami, z powrotem do Sol. Historycy marynarki będą pochylać głowy nad tą bitwą przez następnych pięć wieków. Mój Boże, jak oni walczyli!

Zaczął śpiewać starą wojenną piosenkę, początkowo przyciszonym głosem, a kiedy Sam przyłączył się do niego, coraz głośniejsze...

*Hej towarzysze, słuchajcie bitwy ryku,
patrzcie jak statków falanga wściekła
mknie naprzód, otwórzcie usta do krzyku...
Kopnijcie Terran precz do piekła!*

Pozostali obecnych na sali siedzieli zaszuchani, ludzie unieśli zmęczone głowy, w ich oczach rozpalilo się dawne światło, a kufle zaczęły stukać o jeden o drugi. Wszyscy wstali z miejsc, żeby ryknąć potężnym chórem, aż zatrzęsły się ściany.

*Unieś wysoko szklankę,
całusem żegnaj kochankę,
(Życie jest piękne; mój przyjacielu, życie jest piękne, nasze życie jest piękne)
Bo wyruszamy,
bo wyruszamy,
bo wyruszamy na niebo Terran! Niebo Terran! Niebo Terran!
Wstrząśniemy posadą dziedziny
pośród tych planet wspaniałych,
a gwiazdne cudowne głębiny
zobaczą Impów zgłupiałych.
Unieś wysoko szklankę,
całusem żegnaj kochankę...*

Teraz usłyszeli to również pracujący na ulicy robotnicy i stanęli jak wmurowani. Niektórzy z nich zaczęli także śpiewać. Imperialny nadzorca wrzeszczał coś na nich, i jeden z Ansan odwrócił się do niego, błyskając mu wilczym uśmiechem. Oddział ubranych w niebieskie mundury solariańskich żołnierzy piechoty morskiej, zmierzający w stronę tawerny, ruszył przyspieszonym krokiem.

Hej, Imperator wysłał swe sfory

*okrętów przeciwko nam,
ale nauczyliśmy ich pokory
i rozbiliśmy ten...*

– Hej, tam! Natychmiast przestać!

Piosenka ucichła, powoli i z oporem, ludzie stali tam gdzie przedtem, z rękoma zaciśniętymi w ciasne, twarde pięści. Ktoś zaczął wykrzykiwać obelgi.

Terrański sierżant był jeszcze bardzo młody, i pod tym nieustannym naporem pełnych nienawiści spojrzeń, czuł się niepewnie. Podnosił coraz mocniej głos, aż do krzyku:

– Wystarczy już tego. Jeszcze jedno słowo, a pozamykam was tutaj wszystkich za obrazę majestatu. Czy wy, pijane lumpy, nie macie niczego lepszego do roboty, niż siedzieć tutaj razem i żłopać piwsko?

Wielki ansański kowal, roześmiał się z zamierzoną hałaśliwością.

Sierżant rozglądał się dookoła, usiłując go zignorować.

– Przybyłem tutaj w poszukiwaniu kapitana Donovan. ... Earla Basila, jeżeli tak wolicie. Poinformowano mnie, że będzie tutaj. Mam dla niego imperialne wezwanie.

Szlachcic wyciągnął rękę.

– I oto jestem. Proszę o ten papier.

– To jest tylko formalne polecenie – oznajmił sierżant. – Proszę się tam udać natychmiast.

– Zwykli ludzie – delikatnie zaakcentował Donovan, – zwracają się do mnie per „sir”.

– Teraz sam jesteś zwykłym człowiekiem, takim jak i reszta z nich. – Głos sierżanta leciutko zadrżał.

– Naprawdę, zmuszony jestem domagać się odrobiny szacunku – stwierdził Donovan, z pijacką precyzją. W jego oczach pojawił się jakiś niedobry błysk. – To tylko zwykła formalność, wiem o tym, ale w końcu moja rodzina jest w stanie prześledzić swoje korzenie, do czasów dawniejszych niż samo Imperium, podczas gdy ty nie znasz nawet nazwiska swojego ojca.

Sam Olman prychnął śmiechem.

– No dobrze, sir... – sierżant spróbował wyrafinowanego sarkazmu. – Gdyby pan, sir, był tak miły, żeby ruszyć swoje wielkie tłuste dupsko z tego krzesła, sir, jestem absolutnie pewien, że Imperium byłoby panu niesamowicie za to wdzięczne, sir.

– Obawiam się, niestety, że będę musiał obejść się bez tej wdzięczności. – Donovan złożył wezwanie, nawet na nie spoglądając i schował je do kieszeni swojej tuniki. – Ale, dzięki za ten papier. Powieszę go sobie w toalecie.

– Jesteś aresztowany!

Donovan wstał powoli, prostując dobre dwa metry swojego smukłego, żylastego ciała.

– No dobrze, Wocha – oznajmił. – Pokażmy im, że Ansa jeszcze tak do końca się nie poddała.

Rzucił sierżantowi w twarz kuflem, dodając do tego stół, zmierzający w stronę dwóch stojących obok dowódcy żołnierzy i przeskoczył ponad nagle powstałym rozgardiaszem, aby uderzyć pięścią w szczękę znajdującego się poza nim człowieka.

Wocha uniósł się z podłogi i jego huczący głos, wstrząsnął ścianami. Stanowił własność Donovan od czasu kiedy był jeszcze szczeniakiem, a człowiek dzieckiem, i nawet gdyby ktoś go wyzwolił, to nie wiedziałby co robić. Podążał za swoim panem na wszystkie wojny, jako ordynans i nieregularny żołnierz piechoty, a teraz perspektywa nowej okazji do rozbicia paru łbów, rozjaśniła jego oczy blaskiem radości.

W mgnieniu oka dookoła nagle zrobiło się dużo miejsca. Terranie i Ansanie stali jak sparaliżowani, wpatrując się w potwora, który niespodziewanie stanął za plecami earla. Tubylcy z Donarr mieli, znowu nie tak bardzo niezwykle, centauroidalne kształty, ale ich

ciała bardziej przypominały nosorożca niż konia, były bezwłose, niebieskie i niezwykle masywne. Tors o gorylich ramionach, zakończony był okrągłą głową o małpiej twarzy, długich uszach, potężnych szczękach, z psimi kłami wystającymi z wielkiego rozcięcia pyska. Krzesło pod jego nogami rozleciało się na kawałki, i uśmiechnął się szeroko.

– Paralizatory – zawołał sierżant.

I niemal natychmiast rozpętało się piekło. Paru klientów z baru pochowało się po kątach, ale pozostali stłukli końce butelek, i sami też rzucili się na Terran. Sam Oldman złapał swoją jedyną ręką żołnierza, przyciągnął go do siebie i rozkwaśił mu twarz o ścianę. Dłoń Donovanowa powędrowała zwodniczym łukiem w stronę najbliższego marine, chwycił wiszący luźno karabin i trzasnął nim w szczękę mężczyzny. Inny z żołnierzy złapał go od tyłu, zaczął więc wic się w uścisku, dziko kopiąc nogami. Wykręcił się dookoła i machnął kolbą karabinu prosto w krtani marine.

– Zabić niebieskich! Zabić Impów! Niech żyje Ansa!

Wocha zaszarżował na cały oddział, złapał jakiegoś nieszczęsnego Terranina w swoje czworopalcie łapska i zaczął wymachiwać człowiekiem jak maczugą. Któryś z żołnierzy ustawił zakończony bagnetem karabin, żeby pchnąć nim niewolnika, ale nóż ześlizgnął się po grubej skórze. Wocha zaryczał i odrzucił go pięścią od siebie. W całym pomieszczeniu wrzała bijatyka, ludzie tratowali się nogami, krzyczeli, przeklinali i wymachiwali pięściami.

– Donovan, Donovan – krzyknął Sam Oldman. Zaatakował najbliższego z Impów i dostał bagnetem w brzuch. Upadł na podłogę, przytrzymując ręką ranę i krzycząc.

Drzwi nagle wypełniły się Terranami, żołnierzami przybywającymi na pomoc swoim kolegom. Zaczęły skwierczeć paralizatory, ludzie padali ogłuszeni pod uderzeniami wyładowań ultradźwiękowych, i opór załamał się. Wocha zaszarżował na przybyłą odsiecz, ale ogień zaporowy posłał jego gigantyczne cielsko z hukiem na podłogę.

Ansanie zostali zapędzeni do więzienia miejskiego. Leżący na ziemi Donovan, który zaczął wracać do przytomności po porażeniu paralizatorem, poczuł jak na jego nadgarstkach zatraskują się kajdanki.

Wezwania imperialne, były tym czym były, a więc został zapakowany do terenówki i pod silną strażą zabrany w wyznaczone miejsce. Ze zmęczeniem oparł się o siedzenie, obserwując przemykające za oknami ulice. Raz grupa dzieciaków, na widok pojazdu, zaczęła rzucać w niego kamieniami.

– Nie znalazłby się jakiś papieros? – powiedział.

– Zamknij się.

Ku jego lekkiemu zaskoczeniu, nie zatrzymali się w kwaterze głównej komendantury wojskowej — dawnym Gmachu Sprawiedliwości, w którym Donovanowie przewodniczyli przed wojną rozprawom — ale udali się dalej, w stronę przedmieść, gdzie znajdował się ciągle radioaktywny port kosmiczny. Pewnie jadą na rezerwowe lądowisko poza miastem. Hm. Próbował się odprężyć. Ciągle bolała go głowa od wyładowania paralizatora.

Lekki krążownik, przyleciał kilka dni temu, *H.M. Ganimedes*. Wznosił się jak potężna wieża, ponad roztaczającymi się dookoła zielonymi polami i zaniebieszczonymi w oddali górami i lasami. Wieża jasnego metalu i energii, stercząca prosto w jasne niebo Ansa, oślepiająca odbitym światłem słonecznym. Kiedy samochód stanął przed statkiem, zostali zatrzymani przez kilku marynarzy, stojących na warcie przy pomoście.

– Ten człowiek ma zgłosić się do komandor Jansky.

– Aye, aye. Proszę wejść.

Przeszli przez potężną służbę wejściową, ruszyli dalej wypolerowaną jak lustro zejściówką, którą doszli do windy. Pojechali nią w górę, na mostek. Donovan rozejrzał się po

nim doświadczonym okiem. Musiał przyznać, że Impowie potrafili utrzymać okręt w porządku i gotowości bojowej.

Zastanawiał się, czy mają zamiar go rozstrzelać, czy tylko wsadzić do więzienia. Wątpił, żeby popełnił jakąś straszną zbrodnię. No cóż, przynajmniej było trochę zabawy, a i tak nie pozostało mu już jakoś strasznie dużo życia. Może jego przyjaciółom uda się go uwolnić, kiedy i jeżeli utworzą jakiś rodzaj podziemnej organizacji.

Zaprowadzono go do kajuty kapitańskiej. Prowadząca go chorąży zasalutowała:

– Donovan, zgodnie z rozkazem, ma'm.

– Bardzo dobrze. Ale dlaczego jest zakuty w kajdanki?

– Opierał się rozkazom, ma'm. Wszczał burdę. Połała się krew.

– Tak... Rozumiem. – Skinęła potwierdzająco ciemną głową. – Duże straty?

– Nie wiem, ma'm, ale mamy co najmniej kilku rannych. Wydaje mi się też, że paru Ansan zostało zabitych.

– No dobrze, proszę go tutaj zostawić. Może pani odejść.

– Ale... ma'm, ten człowiek jest niebezpieczny!

– Mam broń, a tuż za drzwiami jest wartownik. Może pani odejść, pani chorąży.

Donovan zachwiał się lekko na nogach, próbując bardziej się wyprostować, żalując że jest taki brudny, zakrwawiony i generalnie obszarpany. Wyglądasz jak włóczęga, człowieku, pomyślał sobie. Musisz trzymać fason. Nie pozwól, żeby oni byli lepsi, nawet jeśli chodzi o puc i glanc.

– Proszę usiąść, kapitanie Donovan – zaprosiła kobieta.

Opadł na krzesło, umyślnie mierząc ją beczelnym, szacującym wzrokiem. Była młoda, jak na kogoś kto nosił podwójne planety komandora. Młoda i śliczna-higieniczna. Wysoka, ciało miała silne ale pełne wdzięku, sympatycznie zaokrąglające się w niebieskim mundurze i czerwonym płaszczu. Kruczo-czarne włosy, opadające swobodnie na ramiona. Silne dłonie, o długich palcach, jedna z nich spoczywała nieustannie w pobliżu kabury pistoletu. Miała interesującą twarz, szeroką, o wyraźnych rysach, lekko wystających wysokich kościach policzkowych, szerokich pełnych ustach, wskazującym na upór podbródka, lekko zadartym nosie, ciemnoszarych oczach, rozstawionych szeroko i zwieńczonych ciężkimi, czarnymi brwiami. Typ bogatej chłopki, zdecydował i poczuł się pewniej w zbroi swojej wrodzonej szlacheckiej arogancji. Odchylił się do lekko tyłu i założył nogę na nogę.

– Nazywam się Helena Jansky i jestem dowódcą tego okrętu – przedstawiła się. Miała niski i dźwięczny głos, wyraźnie brzmiała w nim nuta siły. – Z pewnych powodów, potrzebuję pańskiej pomocy. Dlaczego opierał się pan wezwaniom imperialnym?

Donovan wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że jestem bardziej przyzwyczajony do wydawania rozkazów, a nie do ich otrzymywania.

– Ach... tak. – Przerzuciła leżące na swoim biurku papiery. – Był pan Earlem Lanstead, nieprawdaż?

– Od kiedy mój ojciec i starszy brat zginęli na wojnie, tak. – Uniósł wyżej głowę. – I ciągle jestem Earlem.

Przyglądała się mu beznamiętnym spojrzeniem, które było dla niego dziwnie niemiłe.

– Muszę przyznać, że jest pan dziwnego rodzaju przywódcą – wymamrotała. – Kimś, kto spędza czas w tawernach, upijając się, i kto dla kaprysu prowokuje zamieszki, w których wielu z jego niewinnych zwolenników zostaje rannych, albo ginie. W których niszczone są tak trudne do zastąpienia dobra... Tak, wydaje mi się, że nadszedł czas, aby Ansa zmienić swoich przywódców.

Twarcę piekła Donovana jak ogniem. Niech to diabli wezmą, jakie ona ma prawo do tego, by mówić mu, co powinien robić? Jakim prawem to całe cholerne Imperium, wpycha się gdzieś, gdzie nikt go nie prosił?

– Podległe królowi Rodziny, rządziły Ansa od czasu gdy została ona skolonizowana – odparł sztywnym tonem. – Gdyby nasze rządy były tak straszne, jak wydaje się pani sądzić, to czy tak wielu zwykłych ludzi chciałoby za nas walczyć?

2

Znów to zamyślane spojrzenie. Widziała przed sobą wysokiego młodego człowieka, fatalnie ubranego, a właściwie rozebranego, krew i brud pokrywały smugami jego podłużną, delikatnie wyrzeźbioną twarz o zakrzywionym nosie. Przez wysokie, wąskie czoło przebiegała postrzępiona, stara blizna. Miał niemal żółte włosy, niebieskie oczy, i ogólny wygląd starego, szlachetnego arystokraty. Jego gorzki głos chłostał ją słowami:

– Rządziliśmy Ansa dobrze, ponieważ byliśmy jej częścią, wyrastaliśmy z tej planety i rozumieliśmy nasz lud. A ludzie pod naszymi rządami byli wolni. To jest coś, czego żaden parweniusz w rodzaju Imperium Solarnego nie może zapewnić, nie, jeszcze przez wiele stuleci, a patrząc na materiał wykorzystywany przez imperium do szlachectwa, może nawet nigdy. Kiedy chłopci zostają dowódcami statków kosmicznych...

Jej twarz nieco zbladła, ale uśmiechnęła się i odparła miarowym głosem.

– To ja jestem Lady Jansky z Torgandale na Valor — na Syriuszu A IV — a pan jest teraz zwykłym plebejuszem. Proszę o tym pamiętać.

– Nawet wszystkie dokumenty Galaktyki zebrane razem, nie zmieniają faktu, że pani dziadek był chłopem na Valor.

– Był robotnikiem atomowym i jestem z tego dumna. Ośmielę się jeszcze zasugerować, że arystokrata, który nie ma do przehandlowania niczego poza swoim rodowodem, to doprawdy żałosna postać. Ale teraz, skończmy już z tym. – Rzeczowy ton jej głosu, trzasnął jak biczem. – Popełnił pan poważne przestępstwo, zwłaszcza, że jest to ciągle terytorium okupowane. Jeżeli będzie pan chciał ze mną współpracować, mogę załatwić panu łaskę — także dla pańskich awanturniczych przyjaciół. Jeżeli nie, cała wasza banda może wylądować w kopalniach.

Donovan potrząsnął głową, próbując oczyścić umysł z alkoholu, zmęczenia i dzwonienia pozostałego po wiązce paraliżującej.

– Proszę kontynuować – powiedział, nieco otumanionym głosem. – W każdym razie, mogę pani wysłuchać.

– Co pan wie o Czarnej Mgławicy?

Musiała zauważyć skurcz jego mięśni. Przez chwilę siedział, walcząc z samym sobą, z całej siły czepiając się swojego arystokratycznego dystansu, a wspomnienia wybuchły w nim płomieniem, krzykiem i dźwiękiem najczystszej przerażenia.

Valduma, Valduma!

Gwałtowny łomot serca, odbijał się głośnym echem w jego uszach, i poczuł jak drobne paciorki potu spływają mu po skórze. Olbrzymim wysiłkiem rozciągnął usta w krzywym, szerokim uśmiechu, ale jego głos wyraźnie drżał.

– O której z czarnych mgławic? Tyle ich przecież jest.

– Proszę nie próbować mnie podchodzić. – Jej zwężone oczy nieustannie spoczywały na nim, a palce jednej ręki bębniły po biurku. – Doskonale pan wie, o którą Czarą Mgławicę mi chodzi. Nikt w tym sektorze Galaktyki, nie mówi o żadnej innej.

– Dlaczego... no cóż... – Donovan opuścił twarz, próbując ją skryć, dopóki nie zdoła nałożyć maski obojętności, udając że pociera skronie zakutymi w kajdanki rękoma. – To po prostu mgławica. Z grubsza sferyczny obłok pyłu, o średnicy może roku świetlnego, mniej więcej dziesięć parseków od Ansa, w stronę Strzelca. Na jej obrzeżach znajduje się kilka skolonizowanych gwiazd, w środku zaś nie ma niczego, przynajmniej o ile wszystkim

wiadomo. Z pewnych powodów ma złą reputację. Przesądni ludzie powiadają, że jest nawiedzona, i pewnie słyszała pani opowieści o znikających statkach... No cóż, to daje całkiem spore pole manewru. W każdym razie, nie za wiele więcej wiem na ten temat.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, niemal mógł usłyszeć jak potrzaskuje i furkocze, wypływając z siebie myśl za myślą, wspomnienie za wspomnieniem. *Valduma, czerni, i ci którzy się śmiali. Mgławica to najczystsza trucizna, a teraz zaczyna się nią interesować Imperium. Mój Boże, może udałoby się ich zatruć! Tylko, czy potem uda się to zatrzymać, tam w środku? Tym razem mogą się zdecydować na to by pójść dalej, żeby wychynąć z czerni.*

Wydawało się mu, jakby głos Jansky dobiegał gdzieś bardzo z daleka.

– Wie pan więcej, niż pan chce powiedzieć, Donovan. Wywiad przekopał rejestry Ansan. Był pan najdalej wypuszczającym się zagończykiem, jakiego miała pańska planeta, i miał pan bazę na Heim, w samym pobliżu granic Mgławicy. W pańskich raportach, znaleziono informacje o zaniepokojeniu panującym pośród pańskich ludzi, o znikaniu mniejszych statków, które podczas swoich misji musiały przecinać Mgławicę, o upiornych istotach, które widziane były na pokładach innych statków, o ludziach którzy oszaleli. Pański ostatni raport dotyczący tego tematu mówi, że osobiście pan stwierdził, że większość z pańskich marynarzy, w obrębie Mgławicy wykazywała mniejsze lub większe oznaki szaleństwa, oraz że sam pan ledwie wydostał się na wolność. Rekomendował pan opuszczenie Heim i zawieszenie operacji prowadzonych na tym terenie. Tak też się stało, jako że ten region sam z siebie, nie miał jakiegoś wielkiego znaczenia strategicznego.

– No dobrze. – Pod powierzchnią jej głosu zabrzmiały twarde chłoszczące tony. – Co pan wie o Czarnej Mgławicy?

Donovan udało się w jakiś sposób zmusić się do opanowania.

– Ma pani już mniej więcej całą historię – powiedział. – Kiedy przeniknęliśmy do środka, pojawiły się najróżniejszego rodzaju iluzje, szept, przelotne manifestacje niemożliwych do faktycznego istnienia rzeczy, i tak dalej. Na mnie to specjalnie nie działało, ale wielu innych doprowadziło niemal na krawędź szaleństwa, a niektórzy przypłacili to życiem. Pojawiły się też bardzo rzeczywiste, ale zupełnie niemożliwe do wyjaśnienia kłopoty — silniki, światła, i tak dalej. Osobiście przypuszczam, że w Mgławicy mamy do czynienia z czymś w rodzaju promieniowania, które powoduje kapryśne zachowanie atomów i elektronów, Oczywiście oddziałują one również na ludzki układ nerwowy. Jeżeli myśli pani o tym, aby sama wdrzeć się w jej głąb, to moją jedyną radą jest — proszę tego nie robić.

– Hm. – Oparła policzek na jednej ręce i wpatrywała się w papiery. – Szczerze mówiąc, bardzo mało wiemy o tym sektorze Galaktyki. Przed wybuchem wojny, odwiedziło go bardzo niewielu Terran, a z waszej strony kontakty z Sol były jeszcze słabsze. Jednakże wywiad dowiedział się, że tubylcy na niemal każdej z zamieszkanym planet na obrzeżach Mgławicy, oddają jej cześć, a co najmniej uważają ją za dom bogów.

– No cóż, to bardzo spektakularny obiekt na ich niebie – stwierdził Donovan. Dodał niemal prawdziwą kwestię: – Jeżeli o to chodzi, to znam tylko Heim, gdzie religia tubylców na terenach, na których położona była nasza baza, polegała na swoistym kulcie szatana, koncentrującym się wokół Mgławicy. Składali olbrzymie ofiary — artykuły żywnościowe, futra, narzędzia. Wszystkie rzeczy, jakie tylko można sobie wyobrazić, zarówno o charakterze użytkowym, jak i luksusowym, które uważali, że ich piekielni bogowie mogą pożądać, po które mogą przybyć i je zabrać. Niektórzy z kolonistów uważali, że za tymi legendami coś stoi, ale ja miałem poważne wątpliwości. – Wzruszył ramionami. – Czy to wystarczy?

– Jak na tę chwilę. – Jansky uśmiechnęła się z cieniem czarnego humoru. – Później może pan napisać mi szczegółowy raport, i szczerze panu radzę, żeby mnie nie wprowadzać w błąd. Ponieważ leci pan razem z nami.

Donovan przyjął tę wiadomość na chłodno, ale zdawało mu się, że walenie serca, wstrząsa jego całym ciałem.

– Jak pani sobie życzy. Chociaż, nie wiem, czego pani ode mnie oczekuje...

– Był pan tam już kiedyś i wie pan, czego możemy oczekiwać. Ponadto wie pan dużo o astrologacji w tym regionie. Nasze mapy są bardziej niż pobieżne, a nawet tabele Ansan mają za wiele pustych miejsc.

– No cóż... – Donovan powoli wydusił z siebie. – Jeżeli nie będę musiał się zaciągać. Nie złożę przysięgi waszemu Imperatorowi.

– Nie będzie pan musiał. Otrzyma pan status cywilnego pracownika, pod imperialnym dowództwem, i będzie pan odpowiedzialny bezpośrednio przede mną. Będzie miał pan do swojej dyspozycji oddzielną kajutę, ale żadnego wynagrodzenia, poza rezygnacją z postępowania karnego, przeciwko pańskiej osobie. – Jansky odprężyła się lekko i jej głos zabrzmiał nieco łagodniej. – Ale jeśli będzie pan dobrze służył, zobaczę, co da się zrobić w sprawie płacy. Możliwe, że będzie mógł pan skorzystać, z pewnych dodatkowych pieniędzy.

– Dziękuję pani – formalnie odparł Donovan. Właśnie rozpoczął pierwszą fazę naprędce zaimprovizowanego planu, który na razie przyjmował dosyć mglisty kształt w jego łomocącej głowie. – Czy mógłbym zabrać ze sobą swojego osobistego niewolnika? Nie jest człowiekiem, ale może jeść terrańskie jedzenie.

Jansky uśmiechnęła się. W jej uśmiechu nagle pojawiło się ciepło, które uczyniło ją bardziej ludzką i piękniejszą.

– Jak pan sobie życzy, byle tylko nie miał pcheł. Wystawię zaraz rozkaz jego zaokrętownia.

Podskoczy pod sam sufit, kiedy dowie się na jakiego pasażera się zgodziła, pomyślał sobie Donovan. Ale wtedy będzie już za późno. *A mając do pomocy Walchę i ten statek na ślepo ładujący się do Mgławicy... Valduma, Valduma, wracam do ciebie! Ciekawe czy tym razem mnie pocałujesz, czy zabijesz?*

Ganimedes podniósł grawitory i zostawił słońce Ansa daleko za rufą. Jeszcze dalej za sobą pozostawił Sol, niczym nie wyróżniającą się plamkę położoną w odległości pięćdziesięciu lat świetlnych stąd, zupełnie ginącą w natłoku mrowia gwiazd. Przed nimi leżał Strzelec, centrum Galaktyki i Czarna Mgławica.

Kosmos płonął i jaśniał milionami jaskrawo świecących gwiazd, ostrych zimnych punkcików, rozsypanych na tle absolutnych ciemności przestworzy, nieustannie oświetlających pustą przestrzeń rozciągającą się przez całe mile i lata. Droga Mleczna pienila się skłębionym srebrem, otoczona bezkresną, nieprzebytą ciemnością. Jasny pas obficie udekorowany klejnotami konstelacji. Daleko poza nią wirowały tajemnicze zielone i niebiesko-białe ogniki innych galaktyk, kropelki iskerek ognia, rozdzielone otaczającymi je bezmiarami. Spoglądając w stronę dziobu, można było dostrzec wielkie gromady gwiazdne Strzelca, ogromne roje ciasno stłoczonych słońc, rozpierających się i rozświetlających serce Galaktyki. A my, czego my dokonaliśmy?, zadumał się Basil Donovan. *Czymże jest człowiek i wszystkie jego dumne osiągnięcia, wobec tego? Naszą rodzinną gwiazdą jest karzeł, znajdujący na pustynnych krańcach Galaktyki, na samych jej obrzeżach, gdzie rzadko rozproszone gwiazdy wysypywały się w olbrzymie puste bezmiary. Sięgnęliśmy od niej, może jakieś dwieście lat świetlnych we wszystkich kierunkach, podczas gdy odległość dzieląca nas od Centrum, wynosiła trzydzieści tysięcy! Otaczają nas ciemne, tajemnicze, nienazwane przestworza, a dni naszej chwały są zaledwie króciutkim mignięciem na krawędzi nicości, po którym czeka nas wieczne zapomnienie — nie, nie zostaniemy zapomniani, ponieważ nigdy nie zostaliśmy zauważeni. Czarna Mgławica jest jedynie pomniejszą i najdalej na zewnątrz położoną z wielkich chmur, które występują coraz gęściej, w miarę zbliżania się do Centrum, skrywając*

przed nami jego ostateczne serce. So do rozmiarów nie może równać się z naszymi obszarami, ale można w niej przecież znaleźć potęgę starszą niż cała ludzka rasa, i grozę, która może ją złamać.

Ponownie wrócił do niego ten stary, dręczący strach, lek pełznący wzdłuż kręgosłupa, wypływający prosto z duszy. Pragnął biec, uciec gdzieś stąd, zwinąć się w kłębek pod ochroną nieba Ansa, aby skryć się przed niczym nieosłoniętym blaskiem wszechświata, dożyć w spokoju końca swoich dni, zapominając o tym, że kiedyś spoglądał w pełne pogardy oblicze Boga. Jednak nie było już odwrotu, nie teraz, kiedy statek, mimo że leciał na swoim pomocniczym napędzie, zdążył już prześcignąć światło, a on był na jego pokładzie na wpół więźniem. Wyprostował ramiona i odszedł od ekranu wizyjnego, ruszając z powrotem do swojej kabiny.

Wocha leżał rozwalony na stercie koców, pokrywając swoim ogromnym cielskiem niemal całą podłogę. Odwracał jaskrawo pokolorowane strony książki z obrazkami dla dzieci.

– Szeffie – spytał go, – kiedy ich pozabijamy?

– Impów? Jeszcze nie teraz, Wocha. Być może wcale tego nie zrobimy. – Donovan przekroczył ciało potwora i położył się na swojej koi, podkładając ręce pod głowę. Niemal czuł buczenie silników napędu, wibrację statku i jego kości. – Może zrobi to za nas Mgławica.

– Wracamy tam jednak? – Wocha poruszył się z niepokojem. – Nie lubię tego, szeffie. To jest toombar. Złe.

– Taaa, dokładnie tak jest.

– Lepiej zostanmy w domu. Dwór potrzebuje napraw. Chłopi potrzebują naszej pomocy. Ja potrzebuję piwa.

– Podobnie jak i ja. Zobaczmy, być może uda nam się zorganizować co nieco od kwatermistrza. Kiedy nas nie ma, posiadłości może doglądać Stary John, a chłopi będą po prostu musieli doglądać się sami. Może w końcu nadszedł czas, żeby się tego nauczyli. – Rozległo się pukanie do drzwi. – Proszę wejść.

Tetsuo Takahashi, zastępca dowódcy statku, precyzyjnie swoją małą pękatą osobę wokół Wochy, i przysiadł na skraju koi.

– Twój niewolnik doprowadził Starą Damę do białej gorączki – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zjada racje dla sześciu ludzi.

– I tyle też wypija – Donovan uśmiechnął się w odpowiedzi. Nie mógł nic poradzić na to, że polubił tego małego, rozgadanego Terranina. Potem dodał, z nagłym nawrotem goryczy: – Ale też jest tego wart. Bez niego bym nie poleciał. Być może nie jest jakoś straszliwie bystry, ale jest dla mnie jedynym dowodem, że lojalność i przyzwoitość nie są cechami na wymarcu.

Takahashi posłał mu zaintrygowane spojrzenie.

– Dlaczego nas tak bardzo nienawidzisz? – spytał go.

– Wepchnęliście się tam, gdzie nikt was nie prosił. Ansa była wolna, a teraz jest jedynie kolejną prowincją waszego przeklętego Imperium.

– Może i masz rację. Ale byliście zakisłym bajorem, słabo zaludnioną rolniczą planetą, o której wcześniej nikt z nas nawet nie słyszał, wystawioną na ataki barbarzyńców, a może nawet na podbój przez nie ludzi. Teraz jesteście bezpieczni, i staliście się częścią wielkiego systemu społeczno-ekonomicznego, który ma dużo większe możliwości, niż wszystkie te skłócone małe królestwa, republiki, teokracje i Bóg wie co jeszcze, razem wzięte, mogłyby kiedykolwiek pomarzyć.

– A kto ci powiedział, że chcieliśmy tego bezpieczeństwa? Nasi przodkowie przybyli na Ansa w poszukiwaniu wolności. Walczyliśmy z Shalmu, kiedy greenie chcieli odebrać nam to, co zbudowaliśmy, a potem zrobiliśmy z nich naszych przyjaciół. Mieliśmy przestrzeń życiową i styl życia, który był naszym własnym. Teraz sprowadzicie swoje nadwyżki populacyjne, które wypełnią nasze zielone ziemie, zmieniając je we wrzaskliwe miasta, pełne

jazgoczących ludzi. Porwiecie na strzepy naszą kulturę, którą z takim trudem wypracowaliśmy i zmienicie nas po prostu w kolejną hordę płaszcących się obywateli Imperium.

– Szczerze mówiąc, Donovan, nie wydaje mi się, żeby tej kultury było jakoś specjalnie dużo. Rozsiadła się w swojej wygodnej koleinie i zajmowała się głównie podziwianiem osiągnięć przodków. Czym takim zajmowały się wasze wspaniałe Rodziny, poza polowaniami, próżniactwem i urządzaniem wspaniałych przyjęć? Och, być może wypełniały również jakieś funkcje sędziowskie, i co z tego? W takim prostym społeczeństwie mógłby je wykonywać każdy wybrany głab. – Takahashi wbił swój wzrok w oczy Donovana. – Ale na dobre czy na złe, Imperium zaanektowało Ansa, i jeżeli nie włączycie się pokojowo do głównego nurtu, zostaniecie do niego wciągnięci siłą.

– Taaa. Weszliśmy na grząski grunt dla ludzi, którzy są na tyle głupi, że nie kontrolują swojego własnego przyrostu naturalnego.

– Mój drogi, wasi ansańscy chłopci, mają mniej więcej dwa razy wyższą stopę urodzin, niż Terranie. Tyle że Terran na starcie, jest dużo więcej, i Syrian i Centaurian, i ludzi ze wszystkich od dawna zasiedlonych planet. Nie, właściwie, chodziło o coś dużo więcej. To była kwestia militarnej konieczności.

– Aha. Pewnie.

– Poczytaj sobie kiedyś wasze własne książki historyczne. Kiedy dwieście lat temu Wspólnota załamała się w ogniu wojen domowych, pośród gwiazd rozpętało się prawdziwe piekło. Na wpół dzikie ludy, które nigdy nie powinny opuścić swoich planet, dowiedziały się w jaki sposób zbudować statki kosmiczne i wyruszyły w kosmos by grabić i podbijać. W kilkunastu przypadkach, ci niedoszli władcy, podczas swoich bitew zamienili w zgłiszczca całe planety. Nie wolno dopuścić do anarchii na międzygwiazdnej skalę. Zbyt wielu ludzi cierpi z tego powodu. Stary Manuel I, miał na tyle duże jaja, by proklamować się Imperatorem Sol — tu nie chodzi o jakieś zgrabne eufemizmy, w stosunku do niego, ale imperium po prostu było potrzebne, i właśnie on to imperium zbudował. Wykopał barbarzyńców z Układu Słonecznego i wyruszył na podbój ich ojczystych terytoriów, oraz aby ich ucywilizować. W konsekwencji oznaczało to, że musi podbić wszystkie gwiazdy po drodze do domu, żeby zabezpieczyć swoje linie komunikacyjne. To z kolei doprowadziło do kolejnych kłopotów, w innych miejscach. Och tak, było w tym również dużo chciwości, ale planety które podbijał dla ich bogactwa, i tak zostałyby wessane do imperium, na skutek działania czystych praw ekonomii. Druga Argolida została pominięta, i teraz jego syn, Manuel II po prostu kończy rozpoczętą pracę. Udało nam się już niemal osiągnąć to, co musimy mieć — imperium na tyle duże, by było socjologicznie i ekonomicznie samowystarczalne, i mogło obronić się przeciwko wszystkim nowym przybyszom, których przecież jest tak wielu, ale również aby nie było za duże, i nie przestało być sterowalne. Powinieneś kiedyś odwiedzić wewnętrzne prowincje Imperium, Donovan, i zobaczyć jak wiele społecznego zła, udało się zetrzeć z powierzchni, dzięki bezpieczeństwu oferowanemu przez centralne władze. Potrzebujemy jednak tego sektora, by bronił naszej flanki od strony Strzelca, a więc musimy go zająć. Za pięćdziesiąt lat od dzisiaj, będziesz się cieszył, że to zrobiliśmy.

Donovan popatrzył na niego skwaszonym wzrokiem.

– Dlaczego karmisz mnie tym wszystkim? – spytał go. – Wszystko to słyszałem już wielokrotnie.

– Mamy zamiar zbadać niebezpieczny region, a ty jesteś naszym przewodnikiem. Kapitan i ja myślimy, że w tej Czarnej Mgławicy siedzi coś więcej, niż tylko jakieś nowe promieniowanie. Chciałbym móc myśleć, że możemy ci zaufać.

– A myśl sobie tak, jeśli masz ochotę.

– Wiesz przecież, że moglibyśmy zastosować w stosunku do ciebie hipnosondę. To wycisnęłoby ci z główki wszystko, co tam jest. Wolelibyśmy jednak raczej oszczędzić ci tego upokorzenia.

– Tylko że możecie mnie potrzebować, kiedy już tam dolecimy, a ja nadal byłbym na wpół przytomny. Daj sobie spokój z tą pozą wielkiego altruisty, Takahashi.

Takahashi pokręcił głową.

– Donovan, z tobą jest coś nie tak, tam w środku – wymamrotał. – Nie jesteś już tym człowiekiem, który pobił nas pod Luga.

– Luga! – Oczy Donovana rozbłysły. – Byłeś tam może?

– Pewnie. Na niszczycielu *North Africa*, który właśnie wrócił z frontu pod Zarune. Papierosa?

Zatopili się w opowieściach i tak minęła im miła godzina. Kiedy Takahashi wychodził, Donovan nie mógł pozbyć się nieokreślonego uczucia żalu. *Ci Impowie nie byli wcale takimi złymi gośćmi. Byli odważnymi i honorowymi nieprzyjaciółmi i żeby prawdę powiedzieć, to byli całkiem łagodnymi zdobywcami. Ale kiedy zderzymy się z tym co nas czeka w Czarnej Mgławicy...*

Wzdrygnął się.

– Wocha, daj mi tę whiskey z mojego kufra.

– Nie masz chyba zamiaru znowu się upić, szefie? – w huczącym głosie Donarrianina, zabrzmiało rozczarowanie.

– Mam. I mam zamiar pozostawać w tym stanie, przez całą tę przekłętą podróż. Po prostu nie zdajesz sobie sprawy, ku czemu zmierzamy Wocha.

Obcy wracaj.

Marynarzu, leć do domu, z powrotem. Awanturniku, zawracaj.

To jest śmierć. Zawracaj, człowieku.

Ciemność szeptała. Po całym statku, od dzioba do rufy, przelatywały głosy, mieszając się z nieustannym pomrukiem silników, ponaglając, rozkazując, szepcząc tak cichutko, że zdawały się dobiegać z wnętrza ludzkich czaszek.

Basil Donovan leżał w ciemności. W ustach czuł obrzydliwy smak, wszystkie wnętrzości skręcały się mu i pulsowały, a w gardle narastało coś wstrętnego. Leżał i wsłuchiwał się w głosy, które obudziły go ze snu.

Leć z powrotem do domu, wędrowcze. Umrzesz tutaj, a twój statek będzie płynął przez pustą ciemność, aż po czasy gdy nie ostygną gwiazdy. Zawróć do domu, człowieku.

– Szefie. Słyszę ich, szefie. Boję się.

– Od jak długa jesteśmy tutaj? Kiedy odlecieliśmy z Ansa?

– Tydzień temu, szefie, może wcześniej. Byłeś pijany. Obudź się, szefie, zapal światło. Oni szepczą w ciemności, i strasznie się boją.

– Musieliśmy już podlecieć bardzo blisko.

Wracaj. Wracaj do domu. Jako pierwsze nadejdzie szaleństwo, a potem nadejdzie śmierć. Dalej będzie już tylko wieczne wirowanie w kosmosie. Zawróć, marynarzu.

Bezciesne mamroczące słowa spoza zasłony gęstej, dudniącej ciemności, drążący poszept bez określonego źródła pochodzenia, kpiący, było w nim wyczuwalne okrutne cyniczne lekceważenie rozciągającego się na zewnątrz bezmiaru, narastający i opadający cień śmiechu. Głos szeptał, drwił, maszerował wzdłuż wszystkich włókienek nerwowych, kłując swoimi lodowatymi nóżkami, przepływał przez mózg, krzyczący, szyderczy i głodny. Ostrzegał ich, żeby zawracali, pomimo iż wiedział, że tego nie zrobią i z tego powodu zalewał

ich swoją drwiną. Szept demona, tam w olbrzymiej, zimnej pustce, szydzący, drwiący i wyczekujący.

Donovan usiadł i zaczął macać ręką w poszukiwaniu włącznika światła.

– Jesteśmy już bardzo blisko – powiedział bezbarwnym głosem. – Znaleźliśmy się w ich zasięgu.

W korytarzu na zewnątrz zatupały odgłosy stóp. Mocne stukanie do jego drzwi.

– Wejść. Wejść i miłej zabawy.



3

Donovan nie zdążył jeszcze znaleźć włącznika, kiedy otworzyły się drzwi i do środka wlało się światło rur fluorowych z korytarza. Zimne białe światło, snop otaczający monstrualną postać Wochy i rzucający groteskowe cienie na ściany. W drzwiach stała komandor Jansky, w pełnym umundurowaniu i chorąży Jeanne Scoresby, jej doradca. Twarz młodszej dziewczyny była zupełnie biała, a oczy wielkie, ale sama Jansky otoczyła się, jak zbroją, ponurą surowością.

– No dobrze, Donovan – powiedziała. – Miał pan swoją balangę, ale teraz zaczynają się kłopoty. Nic pan nie mówił o tych głosach.

– Równie dobrze mogłoby to być coś zupełnie innego – odparł, gramoląc się z koi i podpierając się jedną ręką. W głowie trochę mu falowało. W kątach pomieszczenia było pełno cieni.

Zawracaj, marynarzu. Wracaj do domu, człowieku.

– Złudzenia? – Mężczyzna roześmiał się nieprzyjemnym tonem. W białym świetle jego nieogolona twarz wyglądała na bladą i wychudzoną. – Kiedy zaczyna się popadać w szaleństwo, wyobrażam sobie, że zawsze słyszy się głosy.

W szarych oczach, które go przeszły, wyraźnie było widać pogardę.

– Donovan, kilka godzin temu, kiedy zaczęły się te hałasy, zagoniłam do roboty technika. Zarejestrował je. Są bardzo słabe, i zdają się pochodzić z miejsca tuż koło ucha słuchającej ich osoby, ale są dostatecznie realne. Promieniowanie nie przemawia w ludzkim anglicu z akcentem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam. Nie, chyba że służy jako fala nośna dla przekazywanych wiadomości. Donovan, kto lub co jest w środku Czarnej Mgławicy?

Ponownie rozległ się zgrzytliwy śmiech Ansanina.

– A kto lub co jest w środku tego statku? – odparł wyzywająco. – Nasza wspiania ludzka nauka nie zna sposobu na to, aby powietrze zaczęło wibrować samo z siebie. Być może to jakieś niewidzialne duchy, stojące tuż obok nas i szepeczące nam do ucha.

– Nie udało nam się wykryć niczego, ani promieniowania, ani żadnych pól energetycznych, niczego poza samymi dźwiękami. Nie przekona mnie pan, że to wszystko mogło zostać puszczane w ruch, bez użycia jakiejś fizycznej siły. – Jansky klepnęła ręką po swoim pistolecie. – Pan wie, co na nas tutaj czeka. Wie pan jak oni to robią.

– No, dalej. Niech pani użyje hipnosondy. Niech mnie pani położy na tydzień do łóżka. Albo niech mnie pani zastrzeli, jeśli ma pani taką ochotę. Niezależnie od tego co zrobicie, i tak będziecie martwi.

Ton jej głosu był zimny i ostry.

– Proszę się ubierać i idziemy na mostek.

Wzruszył ramionami, wyjął swój mundur i zaczął ściągać piżamę. Kobiety odwróciły wzrok.

Człowieku, wracaj. Popadniesz w szaleństwo i umrzesz.

Valduma, pomyślał, ze skręcającym wnętrzości uczuciem, gdzieś głęboko w duszy. *Valduma, wróciłem.*

Podszedł do lustra. Ansański mundur stanowił gest wyzwania i wydało mu się, że powinien się ogolić, jeśli ma go nosić w obliczu tych Terran. Przesunął brzytwą elektryczną po policzkach i podbródki, obciągnął tunikę, wyrównując ją porządnie i odwrócił się.

– W porządku.

Wyszli na korytarz. Obok nich przeszedł jakiś marynarz, załatwiający zleconą sprawę. Oczy miał rozszerzone, z wytężeniem wpatrywały się w zupełną pustkę. Idąc poruszał wargami. Wyraźnie przemawiały do niego jakieś głosy.

– Przez te brewerie załoga jest coraz bardziej zdemoralizowana – stwierdziła Jansky. – To się musi skończyć.

– No dalej, niech pani to przerwie – zadrwił Donovan. – Czyż nie jest pani reprezentantką wszechmocy Imperium Solarnego? Proszę rozkazać im w imieniu Jego Wysokości, żeby przestali.

– Chodziło mi o załogę – przerwała mu z niecierpliwością. – Nie powinni tak bardzo się wystraszyć jakieś lokalnego zjawiska.

– Każdy byłby wystraszony – odparł Donovan. – Pani również, chociaż nie chce się pani do tego przyznać. Ja na przykład jestem. Sami nie potrafimy sobie z tym poradzić. To instynkt.

– Instynkt? – W jej jasnych oczach widać było lekkie zaskoczenie.

– No pewnie. – Donovan zatrzymał się przed ekranem wizyjnym. Na tle ogarniającej ich ciemności, reszta kosmosu zdawała się płonąć jak ogień. – Proszę tylko popatrzeć tam na zewnątrz. To co pani widzi, to pradawna noc, to ślepe nieznane, gdzie tuż za burtą czekają niemożliwe do wyobrażenia, nieludzkie Siły. Ciągłe jesteśmy tą dawną na wpół małpą, skuloną przy ognisku i drżącą ze strachu na każdy ryk dobiegający z otaczającej nas nocy. Nasz jasno oświetlony, ciepłutki, opancerzony metalem statek, nadal jest tylko samotnym ogniem w jaskini, paleniskiem ze stali i kamienia umieszczonym w wejściu, by powstrzymać bogów. Gdy Dzikie Łowy przebijają się przez niego i krzyczą nam w uszy, musimy być przerażeni, to kwestia jednego z najbardziej podstawowych lęków, ciemności. To część nas samych.

Przemknęła koło niego, jej płaszcz łopotał za nią jak szkarłatne skrzydło. Weszli do windy i wjechali na mostek.

Donovan nie widział jak z dnia na dzień Czarna Mgławica rosła coraz bardziej, rozdymała się do monstrualnych rozmiarów, zaciemniając połowę nieba, odbijając się pozbawionym światła kształtem na tle zimnej panoramy gwiazd. Teraz, kiedy statek wchodził w jej rozproszone zewnętrzne obrzeża, niebo z obu burt rozmywało się i znikało, a przed nimi ziała głęboka czerń. Nawet najbardziej gęsta mgławica, jest niemal zupełną próżnią, ale niewiarygodne masy kosmicznego pyłu i gazu, rozciągające się na międzyplanetarnych i międzygwiazdnych odległościach, są w stanie zupełnie zasłonić niebo. Sprawiało to wrażenie nurkowania w nieskończoną, pozbawioną dna dziurę. Statek spadał i spadał w piekielne otchłanie.

– Zauważyłam już, że w czasie tej podróży nigdy nie spoglądał w stronę naszego celu – powiedziała Jansky. W jej głosie zabrzmiała czysta stal. – Dlaczego zamknął się pan w swojej kabinie i ciągnął pan jak gąbka?

– Nudziłem się – odparł ponuro.

– Pan się bał! – pogardliwie rzuciła. – Nie był w stanie pan przyglądać się, jak Mgławica się rozrasta. Ostatnim razem, kiedy pan tu był, coś się tu stało, coś, co wyrwało panu jaja.

– Czy wasz wywiad nie rozmawiał z ludźmi, którzy byli wtedy ze mną?

– Tak, oczywiście. Ale żaden z nich nie chciał powiedzieć więcej niż powiedział pan. Wszyscy ci ludzie chcieli byśmy tu polecieć, ale na ślepo i nieprzygotowani. No dobrze, panie Donovan. Wchodzimy w to!

Płyty podłogowe zatrzęsły się pod stopami Wochy.

– Nie mów tak do szefa – zahuczał jego głos.

– Niech sobie gada, Wocha – uspokoił go Donovan. – To nie ważne jak mówi.

Spoglądał przed dziób statku, i obudziła się w nim do życia dawna tęsknota, razem z nią strach i wspomnienia, ale nigdy by nie pomyślał, że będzie aż drzeć w jakiejś dziwnej radości.

I... kto wie? Może dobiją targu...

Valduma, wróć do mnie!

Przyglądające się mu oczy Jansky zwęziły się, ale w jej głosie pojawiła się nagle nieśmiałość i zaintrygowanie.

– Pan się uśmiecha – wyszeptała.

Odwrócił się od ekranu i jego śmiech stał się głośny.

– Może wyczekuję tej wizyty z niecierpliwością, Heleno.

– Proszę się do mnie zwracać – odparła sztywno, – komandor Jansky.

– Tam, na zewnątrz, być może. Ale tutaj nie ma stopni wojskowych, nie ma Imperium, nie ma żadnej misji. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, małymi przerażonymi ludźmi, tłoczącymi się razem w obronie przed ciemnością. – Uśmiech Donovan złagodniał. – Wiesz, Heleno, masz bardzo piękne oczy.

Po jej podłużnych, gładkich policzkach powoli pełznął w górę głęboki rumieniec.

– Żądam pełnego raportu z tego, co działo się, kiedy był pan tutaj ostatnim razem – rozkazała. – Natychmiast. Albo stosujemy w stosunku do pana sondę.

Wędrowcze, bardzo stąd daleko do domu. Marynarzu, marynarzu, twoje słońce jest bardzo daleko stąd.

– Czemu nie, proszę bardzo. – Donovan oparł się o ścianę i uśmiechnął się do niej szeroko. – Z miłą chęcią. Tyle że mi nie uwierzysz.

Nic nie odpowiedziała, tylko złożyła ręce i czekała. Statek drżał, nieustannie lecąc przed siebie. Czoło oficera wachtowego ozdobiły paciorki potu, i wbijał w niego swój wzrok.

– Wkraczamy do krainy kompletnie niepodlegającej wszelkim prawom natury – wyjaśnił Donovan. – Do królestwa magii, do wyjątego spod prawa świata wilczych bestii i nocnych stworów. Czyż nie słyszysz tam na zewnątrz zbliżających się skrzydeł? Te duchy, to jedynie pierwszy znak. Wkrótce będziemy mieli plagę czarownic.

– Wyjdź stąd! – zawołała.

Wzruszył na to ramionami.

– W porządku, Heleno. Mówiłem ci, że mi nie uwierzysz. – Odwrócił się i powoli wyszedł z mostka.

Na zewnątrz królowała bezgwiezdna, całkowicie pozbawiona światła, niekończąca się czerń. Statek przemykał się do przodu, z włączonymi wszystkimi detektorami, po omacku zanurzając się w oślepiającej ciemności, podczas gdy załoga popadała w szaleństwo.

Marynarze, już za późno. Nigdy już nie znajdziecie drogi powrotnej do domu. Jesteście martwymi ludźmi na statku widmie, i przez wieczność będziecie tak się zanurzać w Noc.

– Widziałem go, Wong. Widziałem go tam, w Sekcji Trzeciej, był wysoki, szczupły i czarny. Wyśmiewał mnie, a potem nagle niczego już nie było.

Dźwięk wielkich skrzydeł, łopoczących gdzieś na zewnątrz kadłuba.

Mamo, czy mogę go mieć? Czy mogę dostać jego czaszkę, żeby się nią pobawić?

Jeszcze nie, dziecko. Ale już niedługo. Wkrótce.

Fala ohydneho śmiechu i odgłosy biegnących szponiastych stóp.

Nikt nie chodził samotnie. Marynarze Pierwszej Klasy, Gottfried i Martinez schodzili w dół klatka schodową na sterburcie i zobaczyli czekającą na nich czarną postać w kapturze. Gottfried wyciągnął blaster i wystrzelił. Zmierzający prosto do celu promień, odbił się od postaci i spalił go. Martinez leżał bełkocząc coś w izolatorce psychiatrycznej w ambulatorium.

Pogasły światła. Po godzinie rozbłysły z powrotem, ale w ciemnościach ludzie wznecili zamieszki i zabijali się nawzajem.

Komandor Jansky odebrała wszystkim broń osobistą, uzasadniając to, że marynarzom nie można już ufać na tyle, by mogli ją zatrzymać. Załoga wysłała do niej petycję, aby im ją zwrócono. Kiedy została odrzucona, rozległy się buntownicze pomruki.

Marynarze, zapuściliście się za daleko. Dotarliście poza granice stworzenia, a tutaj, jest już tylko śmierć.

Godziny z wolna rozwlekły przeciągały się w dni. Kiedy zegary statku zaczęły pokazywać sprzeczne informacje, czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Basil Donovan siedział w swojej kabinie. Trzymał w ręku butelkę, ale próbował się z nią nie śpieszyć. Cekał.

Gdy rozległo się pukanie, podskoczył w fotelu i każde włókienko nerwowe w jego ciele, skrzyknęło się w zawyło. Przeklął ducha swoją reakcją. Kiedy przyjdą po niego oni, to nie będą pukać.

– Proszę, wejdz... – głos lekko mu zadrżał.

Do środka weszła Helena Jansky. Zamknęła za sobą drzwi. Wychudła, a w jej oczach nie widać było zwykłego blasku, ale ciągle nosiła się z uniesioną głową. Donovan nie mógł nie doceniać tej zaciętej odwagi, która ją przepełniała. Pozbawiona wyobraźni chłopska krew... nie, było w niej coś więcej, była równie inteligentna jak on sam, ale w tym wysokim ciele kryła się głęboka siła, spokojna vitalność, która być może została gdzieś zagubiona przez Rodziny z Ansa.

– Usiądź, proszę – zaprosił ją ręką.

Westchnęła i przesunęła ręką po swoich ciemnych włosach.

– Dziękuję.

– Drinka?

– Nie, nie na służbie.

– A kapitan jest zawsze na służbie. No cóż, zostawmy to. – Donovan usiadł koło niej na koi, opierając wygodnie stopy o posagową nogę Wochoy. Donarrianin zamruczał i pisnął przez sen. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Spojrzenie jakim go obrzuciła było twarde i poważne.

– Możesz powiedzieć mi prawdę.

– O mgławicy? Dlaczego niby miałbym to robić? Proszę, daj mi choć jeden dobry powód, dla którego Ansanin miałby przejmować się tym, co się stanie z solariańskim statkiem.

– Może taki, że wszyscy tutaj jesteśmy istotami ludzkimi, że na tych chłopców w domu czeka ziemia, deszcz, świecące słońce i żony.

A Valduma... nie ona nie jest człowiekiem. Jest ogniem i lodem, szaleńczą furią, ale nie człowiekiem. Jest zbyt piękna, aby była z ciała i kości.

– Ta podróż, to był twój pomysł – odparł defensywnym tonem.

– Donovan, kiedyś w dawnych czasach, nie pozwoliłbyś sobie na taką śmierzdzącą zagrywkę, a potem na tego rodzaju kiepskie, samousprawiedliwiające się wymówki.

Odwrócił wzrok, czując jak policzki robią mu się gorące.

– No cóż – wymamrotał, – dlaczego po prostu nie zawrócisz i nie wylecimy z Mgławicy, dopóki jeszcze możemy? Może kiedyś wrócisz tutaj z całym zespołem uderzeniowym?

– I poprowadzę ich w tę pułapkę? Nasza subtrona wysiadła. Nie możemy wysłać z powrotem żadnych wiadomości, a więc będziemy po prostu robić swoje, aby dowiedzieć się nieco więcej, a potem spróbujemy wywalczyć sobie drogę do domu.

Uśmiech jakim jej odpowiedział był nieco krzywy.

– Być może trochę cię skusiłem, Heleno. Ale nawet gdybym powiedział ci wszystko co wiem, to i tak w niczym by nie pomogło. Wiem za mało.

Jej ręka opadła na niego, silna i ponagląca.

– A więc powiedz mi! Powiedz mi mimo wszystko.

– Ale tego jest tak niewiele. Gdzieś we wnętrzu Mgławicy jest planeta, a jej mieszkańcy obdarzeni są mocami, których nawet jeszcze nie zacząłem rozumieć. Ale między innymi potrafią przenosić się hipersposobem, mniej więcej tak samo jak robią to statki, ale nie potrzebują do tego silników. Posiadają również pewną kontrolę nad materią i energią.

– A gwiazdy z obrzeży... te istoty z Mgławicy naprawdę były ich „bogami”?

– Tak. Przenosili się, terroryzowali tubylców przez całe stulecia, i zwozili składane w ofierze materiały do domu, na własny użytek. Bez wątplenia to oni są odpowiedzialni za zniknięcia tych wszystkich statków, które nigdy stąd nie wróciły. Nie lubią nieproszonych gości. – Donovan dostrzegł jej uśmiech i jego własne wargi również lekko się wygięły. – Przypuszczam jednak, że wzięli jakichś jeńców, aby nauczyli ich naszego języka i wyjawili o nas wszystko co się tylko da.

Skinęła potakująco.

– Ja również bym tak zakładała. Jeżeli odrzucić teorie wymagające udziału czynnika ponadnaturalnego, co oczywiście robię, to taki wniosek nasuwa się niemal bezpośrednio. Jeżeli teraz kilku z nich przeniosło się na pokład i gdzieś się ukryło, to mogą na odległość manipulować cząsteczkami powietrza, i w ten sposób generować te szeptaki. – Ponownie się uśmiechnęła, ale z jej oczu ciągle wyglądała pustka. – Jeśli określić to jako jakiś nowy rodzaj brzuchomówstwa, to nie brzmi to już tak bardzo strasznie, co nie?

Raptownie uwaga kobiety zwróciła się na niego.

– A ty, co ty miałeś z nimi wspólnego? W jaki sposób możesz być taki pewny?

– Ja... rozmawiałem z jednym z nich. – odparł powoli. – Można by powiedzieć, że nawiązaliśmy pewnego rodzaju przyjaźń. Niczego jednak nie udało mi się dowiedzieć, a jedynym zyskiem z tego, była moja ucieczka. Nie posiadam żadnych użytecznej informacji. – Ton jego głosu wystrzył się. – I to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

– No dobrze, lecimy więc dalej! – Uniosła dumnie głowę.

Uśmiech Donovana przypominał raczej skrzywiony grymas. Wziął ją za dłoń, a ta bez oporu pozostała w jego palcach.

– Heleno – powiedział, – próbowałaś psychoanalizować mnie, niemal przez całą naszą podróż. Może teraz kolej na mnie. Nie jesteś taka twarda, jak sobie to wmawiasz.

– Jestem oficerem Marynarki Imperialnej. – Arogancja nie opadła z niej jeszcze do końca.

– Pewnie, pewnie. Karierowiczka o twardej skorupie. Tyle tylko, że jesteś również normalną, zdrową istotą ludzką. Gdzieś tam, w głębi duszy, chciałabyś mieć dom, dzieciaki, a dookoła spokojne zielone wzgórza. I nie okłamuj się, że to wszystko nie przystoi Lady Jansky z Torgandale. Wstąpiłaś do służby, ponieważ była to jakaś rzecz, którą mogłaś zrobić. A ty, moja droga, jesteś tylko wystraszonym dzieciakiem. – Donovan pokręcił głową. – I to naprawdę ślicznie wyglądającym dzieciakiem.

Łzy zakręciły się jej na rzesach.

– Przestań – wyszeptała z desperacją. – Nie mów tak.

Pocałował ją. Długi, powolny pocałunek, w którym jej wargi drżały pod jego ustami, a jej ciało lekko trzęsło się w jego uścisku. Za drugim razem oddała mu, wstydliwie jak dziecko, które ledwie uświadamia sobie dręczący je nagły głód.

Potem cofnęła się, usiadła z rozszerzonymi i dzikimi oczyma, uniosła jedną rękę i przyłożyła ją do ust.

– Nie – powiedziała, tak cicho, że ledwie był w stanie ją dosłyszeć. – Nie, nie teraz...

Nagle zerwała się i niemal uciekła z kabiny. Donovan westchnął.

Dlaczego to zrobiłem? Żeby powstrzymać ją od dalszego zbyt szczegółowego przesłuchania? Albo dlatego tylko, że ona jest uczciwa i jest człowiekiem, a Valduma nie? Czy...

Przed oczyma zawirowwała mu ciemność. Wocha nagle obudził się i skurczył pod dalszą ścianą kabiny, a w jego gardle zawibrowała groza.

– Szeffie... szefie, ona tu znowu jest...

Donovan usiadł nieruchomo, opierając się łokciami o kolana, ze zwisającymi swobodnie dłońmi, spoglądając na parę nowoprzybyłych.

– Cześć, Valduma – powiedział.

– Basil... – jej głos zaśpiewał mu w uszach, wibrując, trylując, niekończącym się ostrym śmiechem, wyczuwalnym pod warstwą zaskoczenia. – Basil, wróciłeś...

– Acha. – Skinął głową drugiej postaci. – To musisz być ty, Morzach, nieprawda? Siadajcie, napijcie się. Tydzień otwartego domu.

Istota z Arzun nadal stała wyprostowana. Z zewnątrz wyglądał na człowieka, wysokiego i wychudzonego, w czarnej pelerynie na ramionach, błyszczącej malutkimi punkcikami gwiazd. Kaptur miał odrzucony na plecy, tak że rude włosy swobodnie się rozsypywały i opadały mu na ramiona. Miał podłużną i szczupłą twarz o rysach stanowiących ostateczny ekstrakt klasycznego piękna, białą i zimną. Zimną jak wychłodzona w kosmosie stal, pomimo uśmiechu na bladych wargach, pomimo ciemnego rozbawienia w skośnych, zielonych oczach. Jego ręka spoczywała na wysadzanej klejnotami rękojeści miecza.

Valduma również przez chwilę stała nieruchomo u boku Morzacha, i Donovan przyglądał się jej, czując jak wzbiera w nim i krzyczy, stara, chora żądza.

Jesteś najpiękniejszą istotą, jaka kiedykolwiek stąpała pod gwiazdami, jesteś lodem i ogniem, żywą furią, silniejszą i słabszą niż człowiek, okrutną i słodką jak tysiącletnie dziecko, a ja cię kocham. Ale nie jesteś człowiekiem, Valdumo.

Była wysoka, a gracia jej ruchów, przypominała marszczący się strumyk, wiatr, ogień i muzykę, które stały się ciałem. Ognista grzywa włosów, spływała jej za okryte czarną peleryną ramiona, miała szczupłe i piękne dłonie. Twarz o dziwnych, ale czystych rysach, biała jak wygładzona kość słoniowa, usta czerwone i roześmiane, oczy podłużne i skośne, zielone, usiane złotymi plamkami. Kiedy mówiła, brzmiało to jak chóry anielskie albo piekielny śmiech. Donovan patrzył na nią, siedząc bez ruchu.

– Basil, wróciłeś do mnie?

– Przyleciał tu, ponieważ musiał – Morzach z Arzun złożył ręce, a w oczach tlił mu się gniew. – Najlepiej od razu go zabijmy.

– Później, może później, ale nie teraz. – Valduma głośno się roześmiała.

Nagle, znajdowała się już w ramionach Donovana. Jej pocałunki były gorące, jak ognisty deszcz. Otoczył go grzmot, ciemność i roztańczone gwiazdy. Na długi, długi czas, stracił świadomość całego świata.

Odchyliła się do tyłu w jego uścisku, uśmiechając się do niego, głaskając go po włosach smukłą dłonią.

Miał zakrwawiony policzek, musiała go zadrapać. Ponownie spojrzał jej w oczy — kocie oczy z rozdzielone źrenicami, całe złote i szmaragdowe, bez ludzkiej bieli. Roześmiała się bardzo łagodnie.

– Czy mam cię zabić już teraz? – wyszeptała mu do ucha. – Czy najpierw doprowadzić do szaleństwa. Albo znowu cię wypuścić. Jak będzie najzabawniej, Basil?

– To nie czas na twoje żarty – ostro przerwał jej Morzach. – Musimy załatwić sprawę z tym statkiem. Podchodzi już niebezpiecznie blisko do Arzun, a nam nie udało się złamać morale i dyscypliny załogi. Myślę, że jedynym sposobem jest rozbić go na Arzun.

– Tak, rozbić go na Arzun! – śmiech Valdumy pulsował i huczał w uszach. – Pozwolić im na osiągnięcie celu. Nawet im w tym pomóc. Och tak, Morzach, to naprawdę dobra myśl!

– Będziemy potrzebować twojej pomocy – powiedziało człekopodobne stworzenie. – Zakładam, że jesteś ich przewodnikiem. Musisz ich nakłaniać, by nie stawiali oporu, kiedy

przejmiemy kontrolę nad sterami. Nasze moce nie wytrzymają długo, w starciu z energią atomową.

– Dlaczego miałbym wam pomagać? – głos Donovaną zabrzmiał ochryple. – Co możecie mi za to dać?

– Gdybyś przeżył i znalazł drogę do Drogobych, mogłabym dać ci naprawdę wiele. – Znowu się roześmiała, szaleńczym śmiechem, który mimo wszystko nie tracił swojej melodii.

– To byłoby naprawdę zabawne!

– No, nie wiem – wyjęczał. – Nie wiem... myślałem, że dobijemy targu, ale teraz mocno się nad tym zastanawiam.

– Zostawiam go tobie – stwierdził sardonicznie Morzach i zniknął.

– Basil – wyszeptała Valduma. Basil... czasami... tak bardzo za tobą tęskniłam.

– Wyjdź, Wocha – powiedział Donovan.

– Szefie... ona jest toombar...

– Wyjdź!

Wocha ociągając się wyszedł z kabiny. W jego oczach widać było łzy.



4

Silniki *Ganimedesa* odpaliły z pełną mocą, a przyrządy sterujące na stanowisku pilota zaczęły poruszać się, pomimo tego, że nikt nie trzymał ich w ręku.

– Maszynownia! Maszynownia! Zakończyć te wyglupy, tam na dole!

– Nie możemy... one są zamrożone... konwerter przeszedł na pełną moc bez naszego udziału...

– Sir, nie mogę ruszyć tego drążka. Jakoś musiał się zablokować.

Zgasły światła i ludzie zaczęli wrzeszczeć.

– Niech ktoś da mi latarkę! – warknął w ciemności Takahashi. – Sam rozbiórę ten przeklęty panel na części.

Snop światła wyłowił jego postać z ciemności.

– Kto idzie? – zawołał.

– To, ja – W przyćmionej poświacie odbitego światła, ukazała się Jansky. – Mniejsza o to, Takahashi. Niech statek leci sam jak teraz.

– Ale ma'am, możemy się rozbić...

– W końcu zmusiłam Donovana do mówienia. Powiedział mi, że jesteśmy w uchwycie czegoś w rodzaju strumienia siłowego. Pociągną nas do jednej ze swoich stacji kosmicznych, a tam być może będziemy mogli negocjować... albo będziemy walczyć. Chodź, musimy uspokoić ludzi.

Latarka zgasła. Śmiech Takahashiego zabrzmiał ostro i zgrzytliwie.

– Najpierw może niech pani uspokoi mnie, pani kapitan.

Natychmiast jej ręka spoczęła mu na ramieniu, poczekaj.

– Nie zawieź mnie, Tetsuo. Jesteś ostatnim człowiekiem, jaki mi został. Właśnie przed chwilą musiałam sparaliżować Scoresby.

– Dzięki... dzięki szefowo. Ze mną już wszystko w porządku. Chodźmy.

Błądzili przez statek w ciemnościach. Silniki ryczały z pełną mocą, a na mostku siedział jakiś duch. Ludzie potykali się o siebie, przeklinali i krzyczeli w ciemnościach. Ktoś włączył syrenę alarmową wzywającą na posterunki bojowe, która była jak potępienny głos ostatecznego szaleństwa.

Potem kotłownia walki w ciemności, siłowanie się, paraliżowanie ludzi w szale berserka, odwoływanie się do resztek tego stalowego ducha, który wydźwignął ludzkość do gwiazd... i powolne przywracanie porządku, ludzie pracujący w pomieszczeniach ogólnych, ciężko dyszący w skąpym świetle papierowych pochodni.

Zgasły silniki i statek przeskoczył do normalnego stanu materii. Helena Jansky ujrzała za portem widokowym krwistoczerwone światło słoneczne. Nie było nawet czasu na ogłoszenie alarmu, i statek się rozbił.

– **S**tu ludzi. Pozostało przy życiu nie więcej niż stu ludzi.

Zawinęła się ciasno w płaszcz, chroniąc się przed wiatrem, i stała wpatrzona w obozowisko. Migoczący odbłask płomieni ogniska naznaczył jej twarz czerwienią, rysując ją wyraźnie na tle kompletnej ciemności nocnego nieba. Lekko połyskiwał na włosach, rozwianych w dzikim nieładzie wokół jej silnego lecz naznaczonego goryczą oblicza. Dalej,

w ciemnościach połyskiwały i tańczyły kolejne ognie, wokół których tłoczyli się ludzie, którym zimno powoli przesączało się do szpiku kości. Tu i ówdzie jęczeli ranni.

Za postrzępionym grzbietem gołych, czarnych wzgórz, nadal można było dostrzec poświatę wokół stopionego wraku. Kiedy uderzyli o ziemię, konwertery atomowe wpadły w szal i zaczęły pożerać kadłub statku. Ocalali z katastrofy zaledwie mieli czas na wydostanie samych siebie i niektórych z rannych, oraz oddalenie się poza skalistą barierę, oddzielającą ich od narastającej radioaktywności. W czasie powolnego, czerwonego zachodu słońca, udało im się zebrać trochę drewna, wycinając je nożami z poskręcanych niewielkich drzew, rozpościerających się ponad kamieniami i śniegami doliny. Teraz siedzieli, czekając na nadejście nocy.

Takahashi zadrżał.

– Boże, ale tu jest zimno.

– Będzie jeszcze zimniej – oznajmił Donovan bezbarwnym głosem. – To stara planeta, krążąca wokół starego, karłowatego słońca. Jej obrót jest powolny. Noce są bardzo długie.

– Skąd wiesz? – Porucznik Elijah Cohen wpatrywał się w niego płonącym wzrokiem, spod prowizorycznego opatrunku, pokrywającego mu całą twarz. Odblask ognia spowodował, że jego oczy wyglądały jakby były czerwone. – Skąd możesz to wiedzieć, chyba że jesteś z nimi? Chyba że sam to wszystko zorganizowałeś?

Wocha wyciągnął przed siebie potężną pięść.

– Zamknij się – zahuczał.

– Daj spokój – powiedział Donovan. – Wydawało mi się, że pewne sprawy powinny być oczywiste. Widziałeś przecież gwiazdę, a więc wiesz, że to wypalony karzeł. Ponieważ planety formują się na wczesnym etapie ewolucji gwiazdy, ta musi więc być również bardzo stara. Popatrz tylko na te skały — zeszkliły się dawno temu, kiedy emisja energii przez gwiazdę była naprawdę wysoka, tuż przed jej ostatecznym zapadnięciem się. A pomimo tego zerodowały już to gołych rdzeni. To musiało zająć miliony lat.

Zreflektował się, że jego rozumowanie, chociaż brzmiało dosyć rozsądnie, opierało się na z góry znanych konkluzjach. *Cohen ma rację. Zdradziłem ich. To Valduma mnie pilnowała, kiedy przeprowadziłem Wochę i siebie samego nietkniętych przez tę katastrofę. Widziałem Valdumo, widziałem cię w tym chaosie z rozwianymi włosami, przemykającą jak wiedźma pośród rozpadających się resztek statku. I śmiałaś się. Śmiałaś!* Poczul się chory.

– Tym niemniej, planeta ma rzadką ale nadającą się do oddychania atmosferę. Jest na niej zamrożona woda i życie roślinne – zachnął się Takahashi. – Takie rzeczy nie zdołałyby przetrwać końcowych gorących etapów życia słońca, bez sztucznej ochrony. Na tej planecie muszą być jacyś mieszkańcy. Ponieważ zostaliśmy rozbici tutaj celowo, ośmielałem się twierdzić, że ci mieszkańcy, to nasi starzy przyjaciele. – Zwrócił swoje ciemne, oskarżające oczy w stronę Ansanina. – I co na to powiesz, Donovan?

– Przypuszczam, że masz rację – odparł zapytany. – Wiedziałem, że tu, w Mgławicy, jest jakaś planeta. Miejscowi powiedzieli mi o tym podczas mojej poprzedniej wyprawy. Ta gwiazda leży w pobliżu jej środka, w regionie „dziury”, gdzie pyłu nie ma na tyle dużo by zepchnąć planetę na gwiazdę, a współdzieli przecież z Mgławicą wspólny wektor prędkości. Innymi słowy, pozostaje tutaj.

– Powiedziałeś mi... – Helen Jansky przygryzła wargę, a potem powoli zmusiła się do mówienia. – Kiedy mieszkańcy Mgławicy przejęli kontrolę nad naszymi sterami, powiedziałeś mi, a ja ci uwierzyłam, że na razie nie musimy się niczego obawiać. A więc nie walczyliśmy z nimi. Nie próbowaliśmy pokonać ich mocy, przy użyciu naszych maszyn. A to kosztowało nas statek i życie ponad połowy załogi.

– Mówiłem ci tylko o tym, co mi się przydarzyło ostatnim razem – odparł pewnym tonem. – Nic nie mogę poradzić, że podczas tej wyprawy, sprawy potoczyły się inaczej.

Odwróciła się do niego plecami. Wiat zawiewał z sykiem, tworząc wokół jej stóp, rzadką mgiełkę suchego śniegu. Jeden z rannych ludzi nagle krzyknął, gdzieś w ciemnościach.

I jak się z tym czujesz, Donovan? Spowodowałeś, że zaczęła ci ufać, a potem ją zdradziłeś. Dla tego stworzenia, które nie jest nawet człowiekiem. I jak ci się podoba rola Judasza?

– Dajmy spokój tym wzajemnym oskarżeniom – powiedział Takahashi. – Nie czas teraz na rozprawy sądowe. Musimy podjąć decyzję, co robić.

– Oni mają na tej planecie miasto – oznajmił Donovan. – Nazywają je Drogobych, a samą planetę Arzun. Miasto leży gdzieś w pobliżu równika, kiedyś mi o tym mówili. Jeżeli chcą, żebyśmy samodzielnie do niego dotarli, a to byłoby do nich podobne, to może dobrze by było udać się na południe. Moglibyśmy pomaszerować w tę stronę, zakładając, że słońce zachodzi na zachodzie.

– Nie mamy nic do stracenia – wzruszył ramionami Terranin. – Ale nie mamy za dużo broni, zaledwie kilka sztuk broni krótkiej, to wszystko. W każdym razie nie przyda nam się ona za bardzo, przeciwko tym stworzeniom.

Coś zawyło w ciemnościach. Ziemia zadrżała, w rytm ledwie słyszalnego, tupotu ciężkich nóg.

– W dodatku, dzikie zwierzęta – niewesoło uśmiechnął się Cohen. – Pani kapitan, chyba lepiej będzie, jeżeli wyda pani komendę na stanowiska.

– Tak, tak, też mi się tak wydaje. – Dmuchnęła w gwizdek, i smagane wiatrem ciemności przeszył ostry cienki świst. Kiedy odwracała się, Donovan dostrzegł przebiegającą przez jej policzek świecącą smugę. Łzy?

Odgłosy zbliżały się coraz bardziej. Usłyszeli szczekanie pazurów na kamieniach. Terranie zebrali się razem, z przodu stali ludzie z bronią, z tyłu z pałkami, kamieniami i gołymi rękoma. Oni mają jaja, pomyślał sobie Donovan. Boże, ale oni mają jaja.

– Na tak jałowej planecie jak ta, pożywienie musi być rzadkością – stwierdziła chorąży Chundra Dass. – Zdaje się, że zostaliśmy wybrani.

Zabrzmiął dudniący ryk, który odbił się echem od okolicznych wzgórz i został pochwycony przez rzadki porywisty wiatr.

– Wstrzymać ogień – rozkazała Helena. Jej głos brzmiał wyraźnie i równo. – Nie marnować ładunków. Czekać...

Stworzenie wyskoczyło z ciemności. Dziesięciometrowej długości chude, pokryte łuskami ciało, z twardymi jak stal szponami i chłoszczącym ogonem, szybujące w wypełnionym śniegiem powietrzu, pojawiło się nagle w niepewnym, mrocznym świetle ognisk. Blaster Heleny trzasnął, wyładowanie energii zaskwierczało na opancerzonym łbie.

Potwór wrzasnął. Jego ciało zakotłowało się, rozbijając gromadę ludzi. Chwycił w szczęki jednego z marynarzy, potrząsnął nim i rozdeptał kolejnego pod nogami. Takahashi dał krok do przodu i strzelił ponownie, w stronę broczącej krwią rany zwierzęcia. Wyładowanie blastera pomknęło z lufy i poszło dzikim zygzakiem gdzieś w bok.

Nawet zwierzęta potrafią to robić... !

– Ja go dopadnę, szefie! – Wocha uniósł się na tylnych nogach, opadł z głuchym hukiem, i zaszarzował. Kamienie pryskały mu spod stóp, na wszystkie strony. Potwór zamiótł ogonem, któryś z ludzi upadł pod nim z połamanymi żebrami, a Wocha zachwiał się od uderzenia. Nadal mknął do przodu, przyciskając kolczasty koniec ogona do piersi. Potwór skręcił się, rycząc. Kolejne wyładowanie blastera trafiło go z tyłu. Odwrócił się i na oczach wszystkich kolejny strzał skręcił i poszedł bokiem.

Wocha uderzył go z siłą całego swojego impetu. Wbił z rozpędu podobny do włóczni kolec ogona tuż pod rozwarte szczęki i trysnęła krew.

– Hej, Donovan! – zawołał. Kiedy stworzenie wrzasnęło i rzuciło w jego stronę pyskiem, złapał jego rozwarte szczęki rękoma.

– Wocha! – wrzasnął Donovan. – Wocha!

Szaleńczo biegł w stronę miejsca walki.

Wielkie plecy Donarrianina wygięły się z wysiłku. Wydawało się im, że niemal słyszą, jak jego ścięgna i mięśnie trzeszczą. Powoli, powoli, zmusił szczęki do szerszego rozwarcia. Potwór zwinął w kłębek swoje ciało, zmuszając go do przyklęknięcia, wlokąc go po ziemi, ale Wocha ciągle walczył.

– Do diabła z tobą – ryknął Donovan w wirującym pyłu i śniegu, – trzymaj go!

Szczęki złamały się. A potwór wrzasnął jeszcze raz, i w jednej chwili już go tam nie było. Wocha przewrócił się i odtoczył.

Donovan upadł na niego, szlochając, śmiejąc się i przeklinając. Wocha pomógł mu wstać.

– Szefie, jesteś w porządku? – spytał go. – Wszystko z tobą dobrze?

– Tak... tak... och ty zaślepiony przekłety głupcze! Ty głupi bezmyślny ośle! – Donovan uściśkał go.

– Uciekł – powiedziała Helena. – Zniknął.

Zbrali martwych i poranionych ludzi i wrócili do ognisk. Zimno kąsało ich do szpiku kości. W ciemnościach nocy zawyło jakieś kolejne stworzenie.

Minęło dużo czasu, zanim jako pierwszy odezwał się Takahashi.

– Można było się tego spodziewać – powiedział. – Te moce parapsychiczne nie mogły pojawić się znikąd. Inteligentna rasa, nasi wrogowie z Drogobycha, po prostu mają je dużo lepiej rozwinięte. Zwierzęta dokonały tego w mniejszym zakresie. Myślę, że to jest kwestia tego, że oni są połączeni z fundamentalnymi prawdopodobieństwami atomowymi, co daje im te funkcje psi, umożliwiające tworzenie pól o ciągłym rozkładzie energii-materii w czasoprzestrzeni. Mówiąc jednym słowem, kontrolę zewnętrznej materii i energii przy pomocy świadomych aktów woli, działających przez zunifikowane pole, które jest czasoprzestrzenią. Telekinezę.

– Acha – stwierdziła ze zmęczeniem Dass. – nawet niektórzy z ludzi mają niewielkie siły para. Kontrola nad toczącymi się kości, czy też promieniami elektronowymi, czy czymkolwiek innym. Ale dlaczego ci... jak ich nazwaliście?... Arzunianie nie najechali całej Galaktyki?

– Mogą działać jedynie na określoną odległość, która mniej więcej akurat pokrywa się z odległością do gwiazd na obrzeżach – wyjaśnił Donovan. – Na większe odległości, ogranicza ich dyspersja, plus fakt, że różnice potencjałów energetycznych muszą być wyrównywane przez ich własny metabolizm. Zwierzęta, oczywiście, mają jeszcze bardziej ograniczony zasięg, być może do kilku kilometrów. Arzunianie wykorzystują telekinezę do kontroli nad materią, energią i tymi samymi pryncypiami podprzestrzennymi, co nasze statki podczas lotu z prędkościami nadświatłymi. Tyle tylko, że oni nie muszą transportować ze sobą wielkiego kadłuba, pasażerów i wyrafinowanej maszyneryi. Jedynie samych siebie, trochę powietrza i może pełne garście dóbr ofiarnych z planet obrzeża. Nie potrzebują więc do tego silników atomowych.

– Nie są zainteresowani podbojem Galaktyki. Dlaczego niby mieliby być? Mogą zaspokoić wszystkie swoje potrzeby, nawet luksusowe, przy pomocy ludzi, dla których są bogami. To stara rasa, bardzo stara, dekadenska, jeśli wolicie takie określenie. Ale nie lubią jak ktoś się miesza w ich sprawy.

Takahashi spojrzał na niego ostro.

– Zauważyłem przelotnie jednego z nich na statku – powiedział. – On miał ze sobą włócznie.

– Tak, to kolejny powód dla którego nie są zdobywcami. W ogóle nie mają zmysłu do mechaniki. Nigdy nie mieli powodów, żeby taki rozwinąć, w sytuacji kiedy potrafią bezpośrednio manipulować materią, przy pomocy narzędzi bardziej niż proste. W ogólnym tego słowa znaczeniu, prawdopodobnie są bardziej inteligentni niż ludzie, ale nie mają

umysłu odpowiedniego typu, i koncentracji niezbędnej do poznania fizyki czy chemii. Jak również, nie są tym zainteresowani.

– A więc, miecze przeciwko pistoletom... Możemy mieć szansę!

– Pamiętaj,. Że oni mogą odbijać twoje pociski. Pistolety nie przydadzą się na wiele. Trzeba wcześniej odwrócić ich uwagę, tak aby nie zauważyli, że strzelasz, aż będzie za późno. Ale oni nie mogą kontrolować nas. Nie są telepatami, a kontrola nad materią z jakiej korzystają, sterowana jest przez prądy impulsów nerwowych żywych istot. Kogoś takiego jak oni, możesz zabić mieczem, podczas gdy pistolet prędzej zabije ciebie.

– Tak... rozumiem... – Helena na niego spojrzała dziwnie. – Nagle stałeś się bardzo wymowny.

Donovan przetarł oczy i zadrżał z zimna.

– I co z tego? Chciałaś usłyszeć prawdę. No to ją masz.

Dlaczego ja im to wszystko mówię? Dlaczego po prostu nie poprowadzę ich jak bydło na rzeź, tak jak tego chciała Valduma? Czy robię to dlatego, że nie mogę znieść myśli o tym że ktoś może polować na Helenę, jak na łowną zwierzynę?

Po czyjej stronie w końcu ja jestem? pomyślał gwałtownie.

Takahashi zaczął wymachiwać rękoma, a w jego głosie pojawił się zapal.

– To jest to! To jest to! Kiedy statek spadł, najróżniejsze kawałki plastiku i metalu rozleciały się na obszarze ponad dwudziestu hektarów. Jutro możemy je spokojnie pozbierać. Potem wykorzystamy ogień naszych blasterów do uformowania ich w broń. Miecze, oszczepy, włócznie. Na Galaktykę, uzbroimy się, a potem pomaszerujemy na Drogobych!



5

To jest bardzo dziwna mała armia, pomyślał sobie Donovan, tak dziwna, że Galaktyka takiej chyba jeszcze nie widziała.

Obejrzał się za siebie. Stara, zniszczona autostrada, prowadziła wzdłuż dna doliny, pomiędzy stromymi ścianami skalnymi, ze zerodowanego czarnego kamienia, strzelającymi w górę, wysoko w purpurowe niebiosa. Słońce chyliło się już ku zachodowi, czerwona kula przyćmionego żaru, zalewająca światłem w kolorze zakrzepłej krwi, posępne skały, lodowce i liche szare drzewa. Ponad trasą ich marszu polatywało kilka płatków śniegowych, zrodzonych na powiewającym ospałym wiatku. Wysoko w górze na wielkich czarnych skrzydłach, szybował samotny czujny ptak o okrutnie wyglądającym dziobie, czekający na ich śmierć.

Ludzie z Imperialnej Marynarki Solarnej szli w grupie, blisko siebie. Byli poobdzierani, brudni i zarośnięci, poubierani w takie postrzępione rzeczy, jakie udało im się uratować ze statku. Uzbrojeni w prymitywnie wykutą broń z dawno minionych wieków, niosący chorych i rannych na topornych noszach. Armia duchów na planecie duchów, maszerująca przez rozbrzmiewające echem wyjącego wichru pustkowia. Ale twarze ludzi nadal były śmiałe, a jeden z nich podawał rytm marszu śpiewem. Jaśniejący rozbłyskiem słońca sztandar Imperium powiewał nad ich głowami. Jedyne ślady koloru pośród rozległego, mrocznego krajobrazu.

Szczęście było przy nich, a przynajmniej coś w jego rodzaju. Zwierzyna łowna pokazywała się w większej obfitości, niż spodziewali się, że może utrzymać otaczająca ich kraina. Stworzenia podobne do jeleni, które zabijali dla mięsa, aby uzupełnić swoje żelazne racje. Natknęli się na starą autostradę, i ruszyli nią prosto jak strzała, na południe. Za nimi było już wiele dni drogi i wiele zapadniętych opustoszałych ruin wielkich miast, a oni z uporem maszerowali dalej.

Szczęście? zastanawiał się Donovan. Myślę, że to wszystko było zamierzone. Myślę, że Arzunianie chcą, abyśmy dotarli do Drogobych.

Usłyszał za sobą skrzypienie butów na nachylonym stoku wzgórza, i odwrócił się do tyłu, stając twarzą w twarz z Heleną. Zatrzymał się i uśmiechnął do niej. Kiedy tak wspólnie pracowali i zmagali się z trudami podróży, zaczęła między nimi z wolna narastać niewypowiedziana zażyłość. Nie padło zbyt wiele słów, ale oczy każdego z nich, często błędnymi w stronę, gdzie akurat było drugie, a ręce ocierały się o siebie, niby przypadkiem. Zmęczona i głodna, pokryta kurzem drogi, z przekrzywioną czapką na splątanych, potarganych włosach, poczerwieniała od wiatru i poodmrażaną od mrozu skórą, ciągle była obiektem wartym spojrzenia.

– Dlaczego zszedłeś tak daleko od drogi? – spytała go.

– Och, może posłużę jako straż boczna – odparł, podejmując dalszą wędrówkę. Ruszyła u jego boku. – Tutaj, z góry, jest lepszy widok.

– Myślisz, że długo jeszcze będziemy musieli tak iść, Basil?

Wzruszył tylko ramionami.

– Bez ciebie nigdy byśmy tak daleko nie zaszli – powiedziała, spoglądając gdzieś w dół, na swoje zdarte buty. – Bez ciebie, Wochy i Takahashiego.

– Może, kiedy nie będziemy wracać, Imperium wyśle misję ratunkową – zasugerował.

– Na pewno tak zrobią. Ale nie dadzą rady znaleźć jednej małej gwiazdy w tym olbrzymim regionie. Nawet czujniki termiczne nic tu nie pomogą, Mgławica za bardzo

rozprasza promieniowanie. A poza tym wpadliby w tę samą pułapkę, co my. – Helena uniosła wzrok. – Nie, Basil. Musimy wywalczyć sobie drogę zupełnie sami.

Przed nimi pojawił się długi splacheć gęstych zarośli, rosnących na stoku. Donovan ruszył prosto przez niego, tracąc z oczu maszerującą armię.

– Wiesz – stwierdził, – ty i ci chłopcy, tam na dole, spowodowaliście, że dużo cieplej myślę o Imperium.

– Dziękuję. Dziękuję. My... – Złapała go za rękę. – To kwestia zjednoczenia rasy ludzkiej, ostatecznego opanowania tego całego regionu gwiazd i... Och!

Nagle przed nimi pojawiły się zwierzęta, wychudzone czarne stworzenia, warczące z głodu. Jedno z nich zaczęło zachodzić ludzi z boku, drugie sprężyło się do skoku. Donovan wyszarpnął miecz.

– Schowaj się za mnie – rzucił ostro, odwracając się, by stawić czoła zbliżającemu się drapieżnikowi.

– Nie... plecami o plecy... – Helena wyciągnęła z pochwy własną klingę. Zawołała głośno o pomoc.

Znajdujące się bliżej zwierzę, rzuciło się jej do gardła. Gwałtownie cięła mieczem, ostrze skręciło jej się w ręku i przejechało po pysku zwierzęcia. Jego szczęki zacisnęły się na przesuwającej się stali i puściły ją z wyciem, tryskając krwią. Donovan wykręcił się w stronę drugiego ze zwierząt, jego uderzenie trafiło w cel i drapieżca zwinął się z wrzaskiem i poleciał do tyłu.

Kończąc obrót, odwrócił się do bestii, która rzuciła się na Helenę. Rąbnął z całej siły, i nagle zwierzęcia już tam nie było, a jego klinga zadzwieczała tylko na nagiej skale. Na plecy zwałił mu się jakiś ciężar, poleciał na ziemię, a na jego ramieniu zacisnęły się kły.

Helena odwróciła się. Mięsożerca uniósł łeb, by na nią warknąć, ale ona złapała miecz oburącz i pchnęła. Zwierzę zaczęło dziko rzucać się w agonii, zalewając krwią cały stok. Drugie ze stworzeń, ranne, zniknęło.

Helena pochyliła się nad Donovanem, mocno przyciskając go do piersi, z dzikimi oczyma.

– Jesteś ranny? Basil. Och, Basil, jesteś ranny?

– Nie – wymamrotał. – Bestia nie miała czasu, by przegryźć się przez tę grubą kurtkę.

Ściągnął jej twarz do dołu, tuż przed swoją.

– Basil, Basil!

Wstał, ciągle przyciskając ją do siebie. Jej ramiona zamknęły się wokół jego szyi, a w głosie zabrzmiały łzy i śmiech.

– Och, Basil, mój ukochany.

– Heleno – wyszeptał. – Kocham cię, Heleno.

– Kiedy wrócimy do domu... mam zaległy urlop, albo podam się do dymisji... twój dom na Ansa... Och, Basil, nigdy bym nie pomyślała, że mogę być taka szczęśliwa!

Potężny tupot nóg, oderwał ich od siebie. Przez zarośla przedarł się Wocha, wymachując oburącz niesionym gigantycznym toporem.

– Szefie, u ciebie wszystko w porządku? – ryknął.

– Tak, wszystko z nami w porządku. To tylko para tych przeklętych stworzeń podobnych do wilków, które dręczą nas przez całą drogę. Wracaj na dół, Wocha, zaraz do was dołączymy.

Małpia twarz Donarrianina rozciągnęła się w potężnym uśmiechu.

– A więc, wzięłaś sobie kobietę, szefie? – zawołał. – Dobrze, dobrze, tam w domu potrzebujemy mnóstwa małych Donovanów!

– Wracaj już, ty stary ciekawski wściubinosie, i trzymaj tę swoją plotkarką gębę zamkniętą na kłódkę!

Parę godzin później, Helena wróciła do armii, która właśnie rozbijała obozowisko. Donovan został na wzgórzach, spoglądając na dół, na ludzi, krążących dookoła, zbierając drewno i kopiąc doły na ogniska. Ich płomienie stanowiły pocieszającą nutę w gęstniejącym zmroku.

Helena, pomyślał. Helena. To piękna dziewczyna, cudowna dziewczyna. Ona jest tym, czego potrzebujemy rzednąca krew Rodziny i ja sam. Ale dlaczego ja to zrobiłem? Dlaczego mówiłem do niej w ten sposób? Tam, wtedy, w tym całym napięciu, lęku i samotności, wydawało mi się, że mi na niej zależy. Ale to nieprawda. Ona jest tylko kolejną kobietą. No i nie jest Valdumą.

W mroku rozległy się jakieś szmery i zobaczył otaczające go przyćmione błyski metalu. Dookoła zbierali się ludzie z Drogobych.

Stali wysocy, podobni bogom, w hełmach, kolczugach i czarnych jak noc płaszczach, opierając się na mieczach i włóczniach. Kiedy spoglądali na dół, na obóz ludzi, ich białe zimne twarze, pełne były starożytnego lekceważenia. Oczy świeciły w ciemnościach fosforyzującą zielenią.

Donovan pokiwał głową, bez specjalnej obawy, zaskoczenia, czy innego uczucia poza nagłym olbrzymim zmęczeniem. Pamiętał niektórych z nich, z dni kiedy pozostał sam wobec najeźdźców, w trzewiach okrętu, a jego ludzie kulili się ze strachu, wznecali walkę i szaleli w sektorach rufowych.

– Witaj, Morzahu, Ubodo, Zegoianie, Korstuzanie, Davleko – powiedział do nich. – Witajcie ponownie.

Z poznaczonego krwawymi cieniami mroku, wyszła Valduma, a on ją złapał w ramiona, przytrzymując tak, przez długą, szaloną chwilę. Jej pocałunek był okrutny, jak spadający jastrząb. Przygryzła mu wargi i w miejscu gdzie dotykała go ustami, poczuł ciepły i słony smak krwi. Potem obróciła się w uścisku jego ramion i stanęli przed milczącymi mężami z Drogobych.

– Jesteście już bardzo blisko miasta – powiedział Morzach. Ton jego głosu był głęboki, podszyty chłodem dźwięczącej uderzającej stali. – Nadszedł czas na kolejny etap.

– Tak sobie myślałem, że celowo uratowaliście niektórych z nas – stwierdził Donovan.

– Nas? – Wargi Valdumy musnęły jego policzek. – Ich, Basilu, ich. Ty do nich nie należysz, jesteś z Arzunianami i ze mną.

– Musieliście przenosić stąd te zwierzęta, które moglibyśmy napotkać na swojej drodze – kontynuował Donovan drżącym głosem. – Zachowaliście nas... ich... przy życiu, i umożliwiliście nam marsz na wasze miasto. Ostatnie zamieszkane miasto, jakie pozostało waszej rasie. Moglibyście polować na nich, tak jak to robiliście z innymi, urządzać sobie zawody z ich udziałem, z dzikimi zwierzętami i spadającymi skałami i pociskami strzelającymi w nas z nicości. Zamiast tego, potrzebujecie nas do jakiś innych celów. O co tutaj chodzi?

– Powinieneś się domyślić – oznajmił Morzach. – Chcemy opuścić Arzun.

– Opuścić ją? Przecież możecie zrobić to w każdej chwili, na własną rękę. Robiliście to od tysiącleci.

– Jesteśmy w stanie dotrzeć jedynie do barbarzyńskich gwiazd obrzeża. Poza nimi, do następnych gwiazd, rozciąga się większą odległość, niż bylibyśmy w stanie pokonać bez wspomagania. Ponadto, chociaż mamy wiele zdobycznych statków kosmicznych, i trzymamy je w nienaruszonym stanie w Drogobych, nie potrafimy ich obsługiwać. Zasada ich działania, o której dowiedzieliśmy się od ludzi, po prostu nie ma sensu! Próbowaliśmy nauczyć się ich pilotażu, ale to tylko wiodło do katastrof.

– Ale dlaczego chcecie stąd odejść?

– To całkiem niedawna decyzja, przyspieszona przez wasze przybycie tutaj, ale myśleliśmy o tym już od dawna. Nasze słońce jest stare, planeta wyjałowiona, a życie niewielkiej grupy pozostałej ze wspaniałej rasy, migocze w ohydnej otaczającej nas szarości. Wcześniej czy później ludzie wędrują tutaj w sile zbyt wielkiej, jak na nasze możliwości. Musimy stąd odejść, zanim to się stanie.

– A więc... – powiedział miękko Donovan, a wiatr pojękiwał do wtóru jego słowom. – A więc wasz plan polega na tym, aby złapać tę grupę marynarzy i uczynić z nich niewolników, którzy zawiozą was... dokąd?

– W kosmos. Daleko stąd. – W ciemnościach nocy zabrzmiał czysty, przepiękny śmiech Valdumy. Zajmiemy inną planetę i na nowo odbudujemy naszą siłę. – Chwyciła go w talii i w mroku zobaczył jasny błysk jej zębów. – Aby stworzyć wielką armię posłusznym naszym rozkazom kosmicznych wojowników... a potem wyruszyć na łowy pośród gwiazd!

– Łowy...

– Popatrz tutaj. – Morzach przysunął mu pod oczy zieloną poświatę, niewyraźny cień nagle stali trzymanej w dłoniach. – Wystarczająco długo byłem już uprzejmy. Masz swoją szansę na wybiecie się ponad tę ludzką hałastę, która cię wydała i zostać jednym z nas. Pomóż nam teraz, a zostaniesz pośród nas aż po kres twoich dni. W przeciwnym razie, i tak weźmiemy sobie tych marynarzy, a na ciebie będziemy polować na całym obszarze tej planety.

– *Aye... Aye... witaj z powrotem, Basilu Donovan. Witaj z powrotem pośród starej królewskiej rasy... Chodź z nami, chodź z nami, poprowadź ludzi w przygotowaną pułapkę i zostań panem gwiazd...*

Krążyli wokół niego, wysocy, zakuci w kolczugi, piękni w widmowym świetle, kusząc go szepczącymi głosami, falami ciemnego śmiechu, łowcy igrający ze swoją ofiarą i próbujący zmusić ją do uległości. Donovan pamiętał ich, pamiętał dni, kiedy rozmawiał z nimi, śmiał się, pił i śpiewał, w diabelskim odurzeniu ich tańczącymi, strzelającymi umysłami, dziką magią i tajemniczością, zuchwałymi, magicznymi wyzwaniem, wspaniałością, która zabrała jakąś część jego duszy i pozostawiła w środku pustkę. Morzach, Marovech, Uboda, Zegoian, przez pewien czas był towarzyszem bogów.

– Basil. – Valduma zanurzyła w jego włosach zakończone ostrymi paznokciami palce i przyciągnęła jego wargi do swoich. – Basil, chciałabym żebyś wrócił do mnie.

Mocno ją przytrzymał, czując jej giętką, dziką siłę, wspominając jej płomienne piękno i noce miłości, jakiej nigdy nie mogłaby mu dać żadna istota ludzka. Jego szept zabrzmiał ochryple:

– Ostatnim razem znudziłaś się mną i odesłałaś mnie z powrotem. Jak długo potrwa to teraz?

– Tak długo jak będziesz sobie tego życzył, Basilu. Na zawsze i na wieczność. – Wiedział, że go okłamuje, ale nie dbał o to.

– To jest coś, co musisz zrobić, Donovan – powiedział Morzach.

Słuchał tego połową umysłu. Chodziło im o poprowadzenie armii do wąskiego cul-de-sac, gdzie Arzunianie mogliby przeprowadzić z bliska delikatną robotę oplecenia ich łańcuchami, które miały ich związać. Co do reszty, mógł się jedynie domyślać.

To łowcy. Wzniciągają intrygi, a następnie wycinają tych niewielu którzy ocaleją z bratobójczej walki, wyruszają w poszukiwaniu zdobyczy na gwiazdy obrzeża, i chwytają żywych ludzi, aby polować na nich dla przyjemności. Nie dokonali niczego nowego przez ostatnich dziesięć tysięcy lat, cała kreatywność już dawno między nimi wywietrzała. A jedyne co robią, jeżeli uda im się uciec z Mgławicy, to zanieśienie pomiędzy gwiazdy zniszczenia. Oni są kompletnie szaleni.

Tak... całe społeczeństwo pełnych psychopatów, oszalałych w trakcie powolnego umierania całej rasy. To jest prawdziwy powód, dla którego nie potrafią korzystać z maszyn,

to dlatego właśnie nie są w stanie myśleć o przyjaźni, a wyłącznie o wojnie, to dlatego niosą w swoich duszach jedynie zagładę.

Ale ja ciebie kocham, kocham cię, kocham. O Valdumo, czarodziejko.

Przysunął ją do siebie, pocałował ze straszliwą intensywnością, a ona śmiała się w ciemności. Popatrzył w górę i napotkał wzrokiem jaśniejszy kształt twarzy Morzacha.

– Dobrze – powiedział. – Zrozumiałem. Jutro.

– Aye... dobrze, dobrze, dobra robota!

– Och, Basilu, Basilu! – wyszeptała do niego Valduma. – Chodź, chodź ze mną, teraz.

– Nie. Podejrzewaliby coś. Muszę zejść do nich na dół, albo oni przyjdą tutaj i będą mnie szukać.

– Dobrej nocy, Basilu, mój ukochany, mój vorza. Do jutra!

Powoli zaczął schodzić w dół stoku, zbierając razem ramiona dla ochrony przed zimnem i nie oglądając się za siebie. Kiedy zbliżył się do ogniska Heleny, podniosła się, a lśniące światło powodowało, że wyglądała na bladą i nierealną.

– Gdzie byłeś, Basilu? Wyglądasz na takiego zmęczonego.

– Tylko obchodziłem obozowisko. Wszystko ze mną w porządku. – Rozłożył swoje poślanie ze sztywnych i śmierdzących skór zwierzęcych. – Chyba lepiej połóżmy się spać, dobrze?

Ale spał bardzo niewiele.



6

Autostrada skręciła pomiędzy wielkie, strzelające w niebo, ściany z postrzępionych starych skał, ciemny tunel, w którym gdzieś wysoko ponad głowami wył wiatr, a słońce wyglądało jak przydymiony, krwawy dysk. Odgłosy kroków ludzi odbijały się echem od popękanych bloków nawierzchni drogi, hucząc głucho wśród zniszczonych przez czas klifów i wywołując słabe dzwonienie kryształków lodu. Było zimno, oddechy parowały z ust gęstymi obłokami, a ludzie trzęśli się, przeklinali i przytupywali nogami.

Donovan szedł obok Heleny, jadącej na Wosze. Powieki miał przymrużone z powodu przenikliwego wiatru, ale czujnie rozglądał do przodu i naokoło, wyglądając bocznego szlaku, przy którym miała na nich czekać zasadzka. Drogobych było już bardzo blisko.

Cos poruszyło się wysoko, na wierzchołku wzgórza, jakaś łopoczący czarny cień, który natychmiast zniknął mu z oczu. Arzunianie ich obserwowali.

Jest — prosto przed nimi — mówili o samotnym drzewie, wyrastającym spomiędzy rozkruszonych przez czas odłamków nawierzchni drogi. Autostrada skręcała na zachód, biegnąc dookoła skalistego szczytu. Ale prosto na południe, poprzez wąski wąwóz, prowadziła boczna droga. *Wszystko co mam zrobić, to zasugerować, żebyśmy nią poszli. Nie zorientują się, że prowadzi ona do ślepego kanionu, zanim nie będzie za późno.*

Helena nachyliła się w jego stronę, tak że jej długie, rozwiane na wietrze włosy owinęły jego policzek.

– Którą drogę powinniśmy wybrać? – spytała go. Jej ręka spoczęła mu na ramieniu.

Nie zwolnił tempa marszu, ale jego głos jęczącym rzadkim powietrzu zabrzmiał bardzo cicho.

– W prawo, Heleno, i to jak najszybciej. Przy tej drugiej drodze czekają na nas Arzunianie, a Drogobych jest już zaraz za tą górą.

– Basil! Skąd o tym wiesz...

Długie, owłosione uszy Wochy uważnie się nastroszyły, a małe oczka pod ciężkimi łukami kości, nagle zaczęły ostro przyglądać się swojemu panu.

– Oni chcieli, abym was zwiódł. Niczego wcześniej nie mówiłem, bo bałem się że jakoś mogą nas podsłuchiwać.

Ponieważ nie mogłem się zdecydować, ponuro pomyślał. Ponieważ Valduma jest szalona, ale ja ją kocham.

Helena odwróciła się i uniosła rękę, jej donośny głos zagrzechotał drwiącymi echem:

– Kolumna w prawo! Naprzód — biegiem marsz!

Wocha poderwał się do klusa, ziemia dudniła i trzęsła się pod jego ogromnymi stopami. Donovan truchtał obok niego, wyciągając z pochwy miecz, i wymachując trzymanym w ręku gołym ostrzem, z oczyma skierowanymi na kanion i piętrzące się nad nim skały. Ludzie przeszli do lekkiego biegu.

Przemknęli obok drogi prowadzącej do miejsca zasadzki i nagle w górze, na grzbiecie pojawiła się Valduma, wysoka, szczupła i piękna, z włosami strzelającymi spod hełmu jak języki płomieni.

– Basil – wrzasnęła na całe gardło. – Basil, och ty potrójny zdrajco...

Obok niej pojawiły się inne postaci, ludzie z Drogobych, stojący na wzgórzach i wyjący z furii. W rękach trzymali łańcuchy, i nagle w powietrzu zrobiło się gęsto od lecących w ich kierunku ogniów.

Jeden z łańcuchów pomknął w stronę Donovana, i owinał się jak wąż wokół jego talii. Rzucił trzymany miecz i zaczął siłować się z zimnym żelazem, czując jak wyciska ono mu dech z piersi, przeklinając ból jaki powodowało. Wocha sięgnął ręką w dół i zerwał łańcuch, rozdzierając go na dwie części i odrzucając do tyłu, w stronę Arzunian. Ten ze świstem zawrócił w powietrzu, i chlasnął go przez środek twarzy, tak że aż ryknął z bólu.

Ludzie ze Sol, kotłowali się w bezładnej walce z nadlatującymi łańcuchami, usiłując je odrzucać, przydeptując wijące się zwoje pod nogami, wrzeszcząc, kiedy rozbijały im głowy.

– Naprzód! – zawołała Helena. – Do ataku... wydostańmy się stąd... naprzód, za Imperium!

Jeden z łańcuchów ze złośliwym świstem zmierzał w stronę jej twarzy. Złapała go mieczem, oplątując go na klindze, ze szczękiem metalu o metal. Takahashi wyciągnął blaster, kilka ładunków, jakie mu pozostały, zahuczało w powietrzu, spalając nadlatujące pociski. Kolejne płomieniste wyładowania z rykiem pomknęły w stronę Arzunian, odpychając ich do tyłu i zmuszając do rezygnacji z kontroli nad łańcuchami, w obronie własnego życia.

– Biegiem! Naprzód!

Kolumna odpowiedziała krzykiem i rzuciła się autostradą. Nagle przed nimi pojawiła się Valduma, z twarzą wykrzywioną przez furję, pchając włócznią w pierś Donovana. Mężczyzna odparował uderzenie mieczem i ciał w jej kierunku... Zniknęła, a Terranie pośpieszyli dalej.

Skały zajęczały. Donovan zauważył, jak drgają ponad ich głowami, zobaczył pierwszy spadający obłok żwiru i usłyszał potężny trzask rozrywanych warstw skalnych.

– Próbuja nas pogrzebać pod skałami! – krzyknął. – Musimy wydostać się spod nich!

Wocha nachylił się, złapał go pod ramię i ruszył galopem. Koło jego głowy z wizgiem przemknął głaz, uderzając z całą siłą o przeciwległą ścianę, i opryskując ich chmurą gorących odłamków skalnych. Potem ich cały świat wypełnił się rozwijającą się lawiną, toczącą się z rykiem pomiędzy potężnymi klifami. Zniszczone czarne wzniesienia, porysowały zygzaki pęknięć, wysokie granie zadrżały i zawaliły się, ponad drogą zakotłowała się chmura pyłu.

– Basil!

Donovan ponownie zobaczył Valdumę, tańczącą i skaczącą pomiędzy głazami, zachłystującą się gniewnymi wrzaskami i śmiechem. Obok niej był Morzach, stojący na skalnym występie i przyglądający się jak na dół spada całe zbocze góry.

Wocha przemknął obok zasłaniającej widok iglicy skalnej. Na drodze do Drogobych, stała linia broniących dostępu do miasta Arzunian, na ostrzach ich broni płonęło światło słoneczne. Wocha rzucił Donovana, wzniosł oburącz swój potężny topór, i ruszył na nich do ataku.

Donovan podniósł się z ziemi i rzucił się w ślad za swoim niewolnikiem. Za jego plecami z zapadającej doliny wysypywali się Terranie, wydostając się na otwartą przestrzeń i uderzając na wroga. Skały nadal pędziły i jęczały, złapani w ich pułapkę ludzie krzyczeli przeraźliwie. Pod lawiną pogrzebanych zostało kilkunastu marynarzy.

Wocha uderzył w linię Arzunian. Jego topór uderzał jak błyskawica, odcinając ręce, i znowu wirując w powietrzu, by zmiażdżyć hełm oraz rozłupać znajdującą się pod nim czaszkę. Stał na tylnych nogach i powalił kolejnych dwóch przeciwników, rozdeptując ich pod stopami. Jakiś wojownik zaszedł go z boku. Helena jedną ręką chwyciła potężne ramię Wochy, atakując drugą, wolną ręką. Jej miecz świstał mu koło uszu. Wszyscy rozbiegli się byle dalej od tej pary, i wtedy zaatakowali pozostali Terranie.

Donovan skrzyżował miecze z kimś, kogo kiedyś znał. Z Marovechem, śmiejącym się półdiabłem, którego słowa niegdyś uznawał za takie zabawne. Arzunianin uśmiechnął się do niego spoza zasłony migającej stali. Jego ostrze pchnęło, mijając niezdarną paradę Ansanina i zmierzało prosto w stronę jego brzucha. Donovan cofnął się, rezygnując z wyrafinowanej

sztuki fechtunku, której nie znał, na rzecz gwałtowanych zwodów i odskoków oraz wymachiwania mieczem jak cepem. Jego stal zderzała się z jasną bronią przeciwnika. Szczekanie i brzęk ostrego metalu, podskoki i taniec, czerwone włosy Marovecha, dziko powiewające na coraz silniejszym wietrze, i jego oczy rozjaśnione śmiechem.

Donovan poczuł, że jego możliwość cofania właśnie się kończy, że stoi oparty plecami o wysoki kamienny filar, i nie może już dalej uciekać. Zaparł się nogami i rąbnął z całej siły, rozległ się świst przecinanego powietrza i brzęk zaskoczonych stali. Miecz Marovecha wypadł mu z ręki i wirując poleciał w bok.

Uderzył o ziemię, odbił się od niej i skoczył z powrotem w stronę dłoni Arzunianina. Donovan ciął ponownie i poczuł szarpnięcie uderzenia żelazem o ciało. Marovech upadł w potoku krwi.

Przez moment Donovan stał poruszony nad Arzunianinem, ogłupiały spoglądając na krew na swoich rekach, słysząc łomot walącego serca, i próbując złapać odrobinę powietrza w płuca. Potem podniósł miecz leżącej istoty. To była lepsza broń niż jego.

Kiedy odwrócił się, zobaczył że walka zmieniła się w bezładną bijatykę. Zmieszane razem grupki ludzi i nieludzi, zadające sobie ciosy w śmiertelnym szaleństwie. Nie było miejsca ani czasu na czarodziejskie popisy, była tylko krew i ciało, miłość do swojego gatunku. Terranie walczyli nie mając specjalnych umiejętności w użyciu archaicznego uzbrojenia, ale cechowała ich chłodna odwaga, zmieszana z ogólnym wyszkoleniem i desperacją. Lepiej też potrafili współpracować między sobą. Wywalczyli sobie drogę do siebie nawzajem, stawali potem oparci o siebie plecami i bronili się przed wszystkimi, którzy się do nich zbliżyli.

Wocha szalał i tratował wszystkich otaczających go wrogów, uderzając toporem, pięściami, nogami, rzucanymi kamieniami. Jego okrzyki wojenne huczały i wstrząsały wzgórzami. Jeden ze znajdujących się przed nim Arzunian zniknął i pojawił się za nim, ze wzniesioną włócznią. Donarrianin nagle cofnął się, złapał napastnika i rzucił go sobie pod tylne nogi, jednocześnie tocząc walkę z innym, stojącym z przodu. Miecz Heleny nie spoczywał nawet na chwilę, zwił się w prawo i w lewo. Pilnowała jego boków wrzeszcząc za każdym razem, gdy jej klinga trafiła celu.

Donovan otrząsnął się i poturczał ostrożnie do miejsca, w którym fala Arzunian szalała wokół mocno ściśniętego kręgu Impów. Ludzie stawiali silny opór, odpierając każdy atak w potokach krwi, tworząc przed sobą stosy zabitych. Teraz jednak włócznie zaczęły spadać z nieba, nie kierowane niczyją ręką, ale niechybnie przebijając gardła, oczy i brzuchy ludzi. Donovan pobiegł sługami susami w stronę ostrej granicy wzgórz, nachylających się nad równiną, na której toczyła się walka.

Wdrapał się na pokryte żwirem zbocze i chwycił się ostrego brzegu skały, aby wciągnąć się na górę. Tam była ona.

Stała na występie skalnym, z leżącym u stóp stosem włóczni, spoglądając na szalejącą na dole bitwę, i miarowo skandując podczas wysyłania przed siebie latającej śmierci. Zauważył nawet jak włosy układają się wspaniałą czerwienią wokół pięknego, białego kształtu jej głowy.

– Valduma – wyszeptał, kiedy na nią uderzał.

Ale jej już tam nie było, siedziała na wyższym występie i drwiła z niego.

– Chodź tu i złap mnie, Basilu, ukochany, ukochany. Wejdz na górę i porozmawiaj ze mną!

Patrzył na nią tak, jak pewnie Lucyfer musiał patrzeć na Niebo.

– Pozwól nam odejść – powiedział. – Daj nam statek i odeślij nas do domu.

– I pozwolic, byście wrócili jako nasi władcy? – Roześmiała się na głos.

– Oni nie są tacy źli, Valdumo. Imperium oznacza pokój i sprawiedliwość dla wszystkich ras.

– I kto to mówi? – Jej pogarda zapłonęła ugodziła go. – Sam w to nie wierzysz.

Przez chwile stał w miejscu.

– Nie – wyszeptał. – Nie wierzę.

Pochylił się, podniósł stos włóczni, i zaczął ześlizgiwać się w dół po skałach. Valduma przeklinała go z góry.

Wokół mocno naciskanego pierścienia Terran, nastąpiła akurat przerwa w walce, ponieważ Arzunianie wycofali się, aby złapać trochę oddechu i rozejrzeć się. Donovan przebiegł przez równinę i rzucił ze szczękiem przyniesiony ładunek pod nogi Takahashiego.

– Dobra robota – powiedział oficer. – Potrzebujemy tych rzeczy. Szybciej, wchodź do szyku. Znowu się zaczyna!

Arzunianie rzucili się do ataku w klinie, próbując wykorzystać jego impet. Donovan zaparł się nogami i uniósł miecz. Terranie wewnątrz pierścienia pochyłili swoje włocznie, wystawiając je pomiędzy ludźmi w zewnętrznej linii. Stali i czekali przez bardzo długie pół minuty.

Nieprzyjaciel uderzył! Donovan ciął najbliższego z nich, wyszarpnął zagłębiony w ciełe miecz i uderzył nim, napotykając zasłonę. Potem wir bitwy odsunął jego przeciwnika gdzieś dalej, pojawił się ktoś inny, wymienili kilka uderzeń. Wrzask ludzi i szczęk metalu sięgnęły po niebiosy.

Terranie zachwiali się nieco pod tym zmasowanym atakiem, ale zatrzymał się on na wewnętrznych włóczniach, a potem do pracy przystąpiły miecze i topory. Ha, klang, wałnąć go w czaszkę i niech ma za swoje! Niech żyje Imperium! Ansa! Ansa! Szczęk broni, krzyk i wydobywający się z głębi gardła ryk, Arzunianie zakotłowali się wokół linii solariańskiej, skacząc, wyjąc i znikając nagle z oczu w ucieczce — zwyczaj który ratował im życie, ale stępił ich atak, pomyślał Donovan w chwili przerwy.

Wocha rozbił ostatnich kilku przeciwników, stawiających mu czoła, rozejrzał się po polu głównej bitwy, i przeorał nogami ziemię.

– Gotowa, moja pani? – zahuczał.

– Aye, gotowa, Wocha. Ruszamy!

Donarrianin cofnął się nieco, by mieć więcej miejsca na rozbieg.

– Trzymaj się mocno – ostrzegł ją. – Nie przejmuj się walką, moja pani. No dobrze!

Zerwał się klusem, rozpędził się, a następnie ruszył pełnym galopem. Pod jego potężnym ciężarem, zatrzęsała się ziemia.

– Hooooo! – wrzasnął na całe gardło. – Nadciągamy!

Helena objęła obiema rękoma jego potężną szyję. Kiedy uderzyli we wrogów, wyglądało to jak wybuch bomby nuklearnej.

W ciągu kilku sekund zabijania, Wocha usiał ziemię porozbijanymi zwłokami, zawirował i zaczął torować sobie drogę do nieuporządkowanej głównej grupy Arzunian. Nie stawili mu czoła. Nagle zniknęli, wszyscy, poza zabitymi.

Donovan rozejrzał się po polu bitwy. Było gęsto usiane ciałami. Bardzo gęsto. Szacował że połowę z małego oddziału Terran, zostało zabitych, albo było rannych. Ale musieli zabrać ze sobą na Czarną Planetę trzy albo czterokrotnie większą liczbę Arzunian. Kamieniste podłoże było czerwone i parowało krwią. Padlinożerne ptaszyska zlatywały się coraz niżej, skrzecząc.

Helena spadła z pleców Wochy, prosto w ramiona Donovana. Próbował ukoić wstrząsający nią szaleńczy szloch, przyciskając ją do siebie, szepcząc jej do ucha i całując jej mokre policzki oraz wargi.

– To koniec, moja droga. Na razie to koniec. Odechnęliśmy ich.

Po chwili opanowała się i uniosła głowę, wyglądając swoje porwane ubranie i naciągając z powrotem na twarz maskę dowódcy. Do Takahashiego:

– Jak czują się nasi ranni?

Złożył jej raport. W większości brzmiał on tak, jak spodziewał się Donovan.

– Ale urządziliśmy im prawdziwe piekło, nieprawdaż?

– Jak to jest? – zastanawiał się Cohen. Oparł się o Woche, poza sporadycznymi głębszymi wdechami nie okazując przeszywającego go bólu, z opatrywanej rannej stopy. – Są dużo lepiej zaznajomieni z tymi tasakami niż my, no i mają przecież jeszcze te swoje przeklęte moce parapsychiczne.

– Oni nie są tak do końca normalni – odparł Donovan bezbarwnym głosem. – Niezależnie od tego czy nazwiemy to skazą kulturalną, czy też szaleństwem, które rozprzestrzeniło się na całą populację, to jest krwiożercza banda, łasice na dwóch nogach, w dodatku z kompleksem wyższości, który nie pozwolił im na zachowanie należytej ostrożności w postępowaniu z nami. Żadnej dyscypliny, żadnego rzeczywistego planu działania. – Popatrzył na południe, ponad rozległym wrzosowiskiem. – To właśnie te rzeczy się liczą. Może następnym razem będą wiedzieć lepiej.

– Następnym razem? Pięćdziesięciu, czy sześćdziesięciu ludzi nie da rady pokonać całej planety, Donovan – stwierdził Takahashi.

– Nie. Chociaż to stara, wymierająca rasa, ich cała ludność mieści się w tym mieście przed nami, a większość z nich uciekła w panice i nie weźmie już udziału w żadnej walce. Nie są przyzwyczajeni do ofiar, które mogą im oddać. Jeżeli uda nam się wywalczyć drogę do statków kosmicznych, które tam mają...

– *Statki kosmiczne!* – Wszystkie oczy wpatrywały się w niego, z nagłym błyskiem nadziei. Ludzie stłoczyli się mocno dookoła, opierając się o swoją zakrwawioną broń. Zerwał się gwar przekrzykujących się głosów.

– *Statki kosmiczne, statki... dom!*

– Taaa. – Donovan przecesał dłonią swoją żółtą czuprynę. Palce lekko mu drżały. – Kilka statków, tych pierwszych, po prostu zniszczyli, pozwalając silnikom na niekontrolowaną pracę, ale inne sprowadzili tutaj. Przypuszczam, że skłonili załogi do wylądowania i podjęcia pertraktacji. Tyle że marynarzy pozabijali, a sami nie potrafili obsłużyć tych maszyn.

– Jeżeli przechwycili statki – powiedziała powoli Helena, – to przechwycili również uzbrojenie, a nawet oni potrafią nacisnąć na spust.

– Pewnie, ale czy widziałś może, żeby przed chwilą do nas strzelali? Zużyli wszystkie ładunki podczas polowań albo pojedynków. A więc jeśli uda nam się przebić i uciec...

– Nadal przecież będą mogli nas ścigać i zniszczyć nam silniki – powiedział Takahashi.

– Nie, jeśli zabierzemy jakiś niewielki statek, co i tak musimy zrobić, na którym we wszystkich ważnych miejscach będziemy mogli utrzymywać posterunki. Aby przekierować przepływy atomowe, Arzunianin musi zbliżyć się do silnika na wyciągnięcie ręki, i użyć całej swojej energii. Można będzie go wtedy zabić, zanim zdąży wywołać jakieś szkody. Wątpię nawet, czy w ogóle by tego próbowali.

– Poza tym – kontynuował Donovan, suchym i bezbarwnym głosem, jak wykładający profesor, – na raz mogą oni wykonać tylko tyle. Nie wiem skąd czerpią energię dla swoich popisów, takich jak wydostanie się ze studni grawitacyjnej tej planety. Nie może ona pochodzić wyłącznie z ich własnego metabolizmu, to musi być jakieś nieznane mi źródło kosmiczne. Oni sami nie wiedzą jak ono działa, to jest instynktowna umiejętność. Ale przekierowanie takiego strumienia, wymaga dużych ilości energii nerwowej, a jak to stwierdziłem ostatnim razem, po jakimś forsownym wyczynie, muszą odpoczywać przez dłuższą chwilę. A więc, jeśli uda nam się dostatecznie mocno ich zmęczyć, a walka zdaje się wyczerpywać obie strony, nie będą w stanie nas ścigać, zanim nie znajdziemy się poza ich zasięgiem.

Takahashi obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

– Wydajesz się dużo wiedzieć – wymamrotał pod nosem.

– Taaa, być może tak.

– No cóż, jeżeli miasto jest tak blisko, jak powiadasz, to może lepiej od razu do niego pomaszerujemy, zanim nasze rany zeszytnieją, a tubylcy zyskają szansę na zorganizowanie się.

– Przygotować natychmiast nosze dla tych, którzy są zbyt ciężko ranni, aby iść samemu – poleciła Helena. – ranni zdolni do chodzenia mogą je nieść, a reszta z nas utworzy ochronny czworobok.

– Czy to nas nie spowolni i nie pozbawi nas przewagi? – spytał ją Donovan.

Uniosła głowę, a ciemne włosy powiewały wokół jej dumnego oblicza na lekkim, popiskującym wietrze. – Jak długo będzie to w ludzkiej mocy, będziemy zajmowali się naszymi ludźmi. Czy Imperium miałoby sens, gdyby nie chroniło swoich?

– Taaa. Taaa, przypuszczam, że nie.

Donovan odszedł przygarbiony i przyłączył się do grupy ludzi zbierającej broń poległych Arzunian, do późniejszego wykorzystania przez Terran. Odwrócił jedno z ciał, aby odpiąć hełm i spojrzał w krwawą maskę twarzy Korstuzana, który kiedyś, dawno temu, był jego przyjacielem. Zamknął ciągle otwarte oczy Arzunianina, a jego własne były niemal ślepe od łez.

Podszedł Wocha, aby się do niego przyłączyć. Donarrianin zdawał się nie zauważać głębokich cięć w swojej skórze, ale tym razem znalazł sobie już tarczę, a u jego ramion zwisało kilka dodatkowych mieczy.

– Znalazłeś sobie dobrą kobietę, szefie – powiedział do Donovana. – Dobrze walczy. Urodzi ci silnych synów.

– Acha.

Valduma nigdy by nie mogła urodzić mi dzieci. Różne gatunki nie mogą się łączyć. A ona jest wyjętą spod prawa ciemnością, ostatnią desperacką próbą powrotu pradawnego chaosu. Jest wrogiem, który jest honorowy i dobry. Ale ma w sobie tyle magii.

Powoli ludzie ponownie sformowali swoją armię, otaczając ciasnym pierścieniem swoich rannych, i ruszyli w dalszy marsz drogą. Ciemne słońce chyliło się ku horyzontowi.

Drogobych leżało tuż przed nimi.

Miasto stało na otwartym, szarym wrzosowisku, i widać było, że kiedyś musiało być ogromne. Ale jego zewnętrzne kwartały budynków dawno temu już popadły w kompletną ruinę. Pozostały z nich jedynie sterty kamieni, porozbijane przez wieki działania mrozów, przewracane i pokryte wędrującym pyłem. Tu i ówdzie sterczał samotny monolit, jak ostatni pniak zębów w przegniłej szczęcie, odbijający się ciemnym kształtem na wietrznym niebie. Panował spokój. Na rozległym zboczu wzgórza, wrzosowiskach, pośród ruin i samotnych pozostałości, nic się nawet nie poruszyło.

Helena z wysokości swojego siedzenia na Wosze, wskazała ręką, a w jej zmęczonym głosie, pojawiła się nuta ochoczej nadziei.

– Spójrzcie... statek... tam przed nami!

Wszyscy wpatrzyli się w ten widok, a niektórzy podnieśli nierówną owację. Ponad czarnymi, budowanymi w kwadraty budynkami centrum miasta, można było dostrzec metalowy dziób frachtowca. Takahashi zmrużył oczy.

– Wygląda mi, na denebiański – stwierdził. – Coś mi się wydaje, że ludzie nie są jedyną rasą, która ucierpiała przez tę hałastrę.

– No dobrze, chłopcy – oznajmiła Helena. – Chodźmy i zdobądźmy go.

Ruszyli długą, pustą aleją, która biegła prosto jak strzała w stronę centrum. Przez całą drogę wszędzie ziały pustymi drzwiami, jak studnie ciemności, zdobione portykami domy, wznoszące się po obu stronach drogi z nadgryzioną, ale szaleńczo opierającą się upływowi czasu, masywnością, odbijające głuchym echem tupot ich butów. Donovan słyszał za sobą szmer niespokojnych głosów:

– *Nie podoba mi się to miejsce... Nawiedzone... Mogą tu czekać na nas gdziekolwiek...*

Wiatr zawiewał na ich drogę wirującym śniegiem.

Basilu. Basilu, mój drogi.

Głowa Donovana z szarpnięciem obróciła się dookoła, i poczuł jak coś zaciska mu gardło. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Pustka.

Basilu, ja wzywam tylko ciebie. Nikt inny nie może tego usłyszeć.

Dlaczego jesteś z tymi stworzeniami, Basilu? Dlaczego maszerujesz razem z wrogami twojej planety? Gdybyśmy Basilu mieli czas na odbudowę swoich armii, moglibyśmy wyzwolić Ansa. Moglibyśmy wspólnie wymieść Terran sprzed naszych oczu, i tropić ich na ścieżkach nocy, a ty jednak maszerujesz przeciwko nam.

– Valdumo – wyszeptał.

Basilu, byłeś tak dla mnie drogi. Byłeś czymś nowym, silnym, przyszłością, która przybyła na naszą starą, zmęczoną planetę. I... myślę, że cię pokochałam.

Nadal mogłabym cię kochać, Basilu. Gdybyś tylko mi pozwolił, mogłabym cię trzymać w ramionach przez wieczność.

– Valdumo... skończ z tym.

Kpiąca zmarszczka śmiechu, słodka jak wiosenny deszczyk, brawura rasy, która była już stara, słaba i skazana na zagładę, ale ciągle jeszcze potrafiła się śmiać. Donovan pokręcił głową, i sztywno wpatrywał się przed siebie. Poczuł się, jakby zdołał położyć ręce na tym kawałku swojej duszy, który gdzieś zagubił, a ona próbowała mu go wyrwać z nich z powrotem. Tylko że pragnął, aby wygrała.

Wracaj sobie do domu, Basilu. Wracaj do domu z tą swoją kobietą. Wychowuj swoje dzieci, wypełnij dom potomstwem i wmawiaj sobie że twoja niewielka miara dni coś znaczy. Kroc dumnie pod błękitnym niebem, stając się coraz bardziej gruby i siwy, chęłpiąc się jakim to wielkim człowiekiem kiedyś byłeś, i z dezaprobatą przyjmując wysoki młodego pokolenia. Jak sobie chcesz, Basilu. Ale nigdy już nie wyruszysz ponownie w kosmos. Nigdy nie spojrzysz na nagie gwiazdy. Nie ośmielisz się.

– Nie – wyszeptał.

A ona się śmiała. Potężny dzwon szyderstwa huczał mu w głowie.

Mógłbyś być bogiem — albo diabłem. Ale raczej skończysz jako imperialny urzędnik o wielkim brzuszysku. Wracaj do domu, Basilu, zabierz sobie tę swoją kobietę, ale kiedy w nocy obudzi cię — powiedzmy jej oddech? — nie wspominaj mnie.

Terranie śpieszyli ulicą, wysmarowani brudem i świecący się od tłuszczu i krwi, nieokrzesani prostytutki, małpy w ponurych ruinach królestwa bogów. Donovanowi zdawało się, że przelotnie uchwycił obraz Valdumy, stojącej na szczycie dachu, jej czysty zwinny ognek, jedwabisty płomień włosów, i nieludzkie zielone oczy, przypatrujące mu się z boku w ciemnościach. Ona była żywym ogniem, niekończącą się fanfara i wyzwaniem. I kiedy skończyła z nim, odbyło się to szybko i bez wahania, żadnego szlochania związanego ze wspólnie spędzonymi latami i przyzwyczajeniami — i, do diabła, z tymi wszystkimi małymi sprawami, które składały się na człowieczeństwo.

Niech ci będzie, Valdumo. Jesteśmy małpami. Jesteśmy hałaśliwi, lubimy podkreślać własne znaczenie. Jesteśmy konformistami, jesteśmy zachowawczy. Jesteśmy małymi oszustami, nie zbliżamy się nawet do wielkości, jaką moglibyśmy osiągnąć. Tworzone przez nas gmachy, kładzione są cegła po cegle, z niekończącymi się próżnymi sporami nad każdą z nich. Ale jednak, Valdumo, w człowieku jest coś, czego ty nigdy nie będziesz miała. Jest coś, dzięki czemu ci ludzie wywalczyli sobie drogę, przez wszystko co byłeś w stanie na nich rzucić, pomagając sobie nawzajem, parli naprzód pod tą śmieszną płachtą z kolorowej szmaty, zuchwale śpiewając podczas drogi.

Piękne słowa, dodał jego umysł. Szkoda tylko, że tak naprawdę to sam im nie wierzysz.

Poczuł spoczywające na nim spojrzenie zaniepokojonych oczu Heleny.

– Co się stało, kochanie? – spytała go delikatnie. – Źle wyglądasz.

– Jestem zmęczony – odparł. – Teraz jednak nie pozostało nam już wiele drogi do pokonania...

– Uwaga!

Obracając się, zobaczył jak filary stojącego po prawej domu wyginają się, zobaczył jak wielkie kamienne płyty dachowe lecą z hukiem ze szczytu, spadając w dół na ulicę. Przez mgnienie oka mignęła mu zjeżdżająca na płycie Valduma, krzycząca i zanosząca się śmiechem. Potem zniknęła, a kamień uderzył.

Wszyscy już się rozbiegali, rzucając w popłochu niesionych rannych i uciekając w bezpieczne miejsce. Kolejny dom zajęczał i zawalił się z hukiem. Ziemia zatrzęsła się, lecące kawałki ugodziły Donovana w plecy, po ulicach Drogobych przetoczyły się echa upadku. Ktoś krzyczał, słabo i jakby z oddali, pod staczającą się kotłowaną.

– Naprzód. Naprzód! – Głos Heleny przywrócił go do rzeczywistości, poprowadziła ich ucieczkę, podczas gdy miasto grzmiało wokół niej. Potem zasłona unoszącego się pyłu przesłoniła jej postać, ruszył po omacku do przodu, potykając się o leżące filary i gzymsy, słysząc wokół siebie jedynie wielki huk, i biegnąc, biegnąc.

Valduma śmiała się, czerwony płomień widoczny nawet przez wirujący kurz. Jej włócznia z błyskiem pomknęła ku jego piersi, złapał jedną ręką drzewce, a drugą machnął w jej stronę mieczem. Zniknęła, a on pomknął naprzód, nie zatrzymując się, nie myśląc, nie stawiając jej czoła.

Wydostali się na wielki otwarty plac. Kiedyś musiał być w tym miejscu park, z rzeźbionymi fontannami, ale nie pozostało z niego nic, poza kilkoma pozbawionymi liści drzewami i połamanymi szczątkami. I statkami kosmicznymi.

Statki kosmiczne, metalowe wrzeciona na tle otaczającego je ciemnego kamienia. Stało tam i czekało na nich kilka — statki kosmiczne, statki kosmiczne, najpiękniejszy widok w całym kosmosie! Helena i Wocha zatrzymali się koło małego, szybkiego statku zwiadowczego, klasy Comet. Ocalali Terranie biegli w ich stronę. Niewielu, pomyślał słabo Donovan, niewielu — pozostało ich może dwudziestu, krwawiących z ran zadanych przez latające kamienie, poszarzałych od kurzu i ze strachu. Miasto było jedną wielką pułapką.

Dalej – krzyknęła kobieta. – Do mnie tutaj i zabieramy się z tej planety!

Nagle pojawili się ludzie z Drogobych, pierścień wokół statku i kolejny dookoła całego placu, przyczajeni z bronią w rękę i rozpalonymi kocimi oczyma. Dwudziestu poranionych, ślaniających się ludzi i pół tysiąca nie ludzi.

Trąbka wysłała swoje wysokie tony w ciemniejące niebo. Arzunianie przygotowali broń nie okazując emocji. Donovan i jego ludzie kontynuowali swój marsz, formując szyk czworokąta.

Przed wejściem na statek zwiadowczy, stał Morzach.

– Nie macie już żadnej szansy na ucieczkę – zawołał. – Ale my chcemy tylko waszej służby, a nie waszego życia, a służba ta zostanie nagrodzona. Odlóżcie swoją broń.

Ramię Wochy wyprostowało się. Jego topór pomknął jak błyskawica i głowa Morzacha rozpadła się na kawałki. Donarrianin ryknął i ruszył na szereg wroga.

Rozsunęli się przed nim, bojaźliwie, a Terranie ruszyli za nim, formując w biegu klin. Donovan biegł po prawej stronie Wochy, jego miecz zadzwieczał, odpierając pchnięcia w pierś Donarrianina.

Jakiś Arzunianin wykrzyknął rozkaz, który musiał oznaczać:

– Zatrzymać ich!

Donovan zobaczył jak zewnętrzna linia zerwała się do biegu, kierując się w stronę toczącej się walki. Tym razem nie ma żadnych latających włóczy, zreflektował się w chwili ponurej satysfakcji. Zwalanie tych ścian musiało wyczerpać większość ich bezpośrednio dostępnej energii.

Jeden z tubylców ruszył na niego, jego miecz zaświstał spoza czarnej tarczy. Donovan wyłapał uderzenie na swoją własną zrabowaną tarczę, czując jak dzwoni ono w kościach jego ręki, i ciął w odpowiedzi. Ostrze jego miecza błysnęło tuż koło twarzy z obnażonymi białymi zębami, i Donovan wykrzyczał zasapane pozdrowienie:

– Spróbuj jeszcze raz, Davleko!

– Zrobię to, spokojnie!

Na jego tarczy zadudnił deszcz uderzeń, po których miecz zaśpiewał złośliwie w dole, próbując cięcia na nogi. Pod zmierzającym ku zachodowi słońcem słychać było szczęk i dzwonienie oręza, świst powietrza i jęk stali. Cofnął się, opierając plecy o bok Wochy, podczas gdy Donarrianin i kobieta walczyli z bezpośrednio broniącymi słuzy, Zebrał się w sobie i uderzył.

Davleka warknął i ciął w wystawioną nogę Donovana. Miecz Ansanina skręcił się w przód, w stronę niechronionej szyi. Oręż Davleki zadzwieczał na ziemi, a on sam zwałił się na człowieka. Leżąc na ziemi uniósł jeszcze zakrwawioną twarz, wyciągnął nóż i pchnął nim w górę. Donovan, który już krzyżował ostrza z Ubodą, nadepnął mu na rękę. Davleka uśmiechnął się przez wypływającą krew, krzywym pełnym żalu grymasem, i umarł.

Uboda przecisnął się w jego pobliże, uderzając w jego tarczę. Sam nie miał swojej, ale w lewym ręku trzymał sztylet. Jego miecz związał się z mieczem Donovana, odepchnął go na bok, i w powstałą lukę błysnęło szybko nożem.

Helena odwróciła się i uderzyła go z wysokości siedzenia. Uboda przetoczył się po tarczy Donovana, zostawiając na niej czerwony rozbryzg. Mężczyźni zebrało się na mdłości.

Wocha wymachując jednym ze swoich mieczy, parł naprzód na Arzunian, rozpychając ich na boki, samą masą swojego ciała, waląc w otaczających go strażników ich hełmy i zbroje.

– Przeszedłem – ryknął na całe gardło. – Przebiłem się przez nich, moja pani!

Helena zeskoczyła na ziemię i pobiegła do służy.

– Takahashi, Cohen, Basil, Wang-ki, wchodźcie do środka i pomóżcie mi uruchomić silniki! Reszta z was, powstrzymywać ich. Nie dajcie im czasu na zebranie razem jakichś resztek para-mocy, która im pozostała i zniszczenie czegoś. Zajmijcie czymś ich myśli!

– Niech pomyślą o swoim życiu, co? – Wocha odwrócił się przed wejściem do służy i uniósł w górę swój miecz. – No dobrzy, chłopcy, nadchodzą do nas. Dajmy im to, czego tak pragną.

Donovan zatrzymał się w służbie. Valduma też tam była, jej ognista głowa wirowała wśród pędzących, odzianych na czarno wojowników. Wychylił się i złapał ramię jednego z marynarzy.

– Ben Ali, idź z nimi i pomóż im uruchomić to pudło. Ja muszę zostać tutaj.

– Ale...

Donovan wepchnął go do środka, stanął koło Takahashiego i zaparł się, aby przyjąć szarżę Arzunian.

Atak ruszył na nich, ponieważ zorientowali się już, że będą musieli pozabijać ludzi, zanim ci uciekną. Arzunianie wywijali bronią i wyli. Wstrząs zderzenia odrzucił ludzi do tyłu, przyciskając ich do statku i unieruchamiając im broń przyciśniętą do piersi. Terranie przeklinali i zaczęli używać rąk i nóg, do oczyszczenia sobie miejsca do walki.

Miecz Donovana zabrzęczał na czyjejs tarczy, odepchnął na bok inne ostrze, dźgnął w twarz jeszcze kogoś innego, a potem wszystko utonęło w szaleńczym wirze cięć i pchnięć, przyjmowania uderzeń zadawanych przez innych, tnij, mieczu, tnij!

Arzunianie rzucili się z wściekłością na Wochę, nie troszcząc się już o własne życie, grzmocąc ciosami o jego tarczę, waląc bez opamiętania, dźgając i używając resztek czarodziejskich mocy, aby wypełnić powietrze klingami. Wocha ryczał i utrzymywał swoją pozycję, miecz błyskał w jego ręku, stał zmieniała się w piorun. Jego tarcza została cała porębana, rozpadając się na części. Rzucił ją z miażdżącą kości siłą w stronę najbliższego Arzunianina. Jego stępiony i powyginany miecz złamał się na hełmie, i wyciągnął kolejny.

Statek zadrżał, rozległ się łoskot rozgrzewających się silników, upragniona obietnica nieba i gwiazd, ponownego widoku zielonej Terry.

– Wchodzić do środka! – wrzasnął Donovan. – Do środka! My ich tu zatrzymamy!

Stał koło Wochy, kiedy wchodzili ostatni marynarze, stał broniąc dostępu do służy ścianą stali i krwi. Rozmazanym wzrokiem zobaczył zbliżającą się Valdumę.

Uśmiechnęła się do niego, przeczesła szczupłą dłonią miedziane włosy. Drugą wyciągnęła w znaku pokoju. Wysoka, elegancka i piękna, ponad wszelkie wyobrażenia, podeszła do Donovana, a w jego ciemniejszym umyśle zabrzmiał jej czysty głos.

Basil... chociaż ty, mógłbyś zostać. Ty mógłbyś poprowadzić nas do gwiazd.

– Odejdź stąd – wyjęczał Wocha.

Na jej twarzy zapłonęła diabelska wściekłość. Wrzasnęła, i z nieba świsnęła lanca, zagłębiając się w wielkiej piersi.

– Wocha! – wykrzyknął Donovan.

Donarrianin warknął i złamał drzewce, sterczące spomiędzy jego żeber. Zakręcił nim nad głową, i zielone oczy Valdumy rozszerzyły się ze strachu.

– Donovan! – ryknął Wocha i wypuścił je w powietrze.

Uderzyło niechybnie, a Ansanin rzucił swój miecz i zachwiał się na nogach. Nie mógł patrzeć na tę połamaną rzecz, która kiedyś była Valdumą.

– Szeffie, teraz polecisz do domu.

Wocha włożył go do śluzy, a następnie zatrzasnął jej zewnętrzne wrota. Odwrócił się, stając naprzeciw Arzunian. Nie widział ich zbyt dobrze — jednego oka nie miał, a przed drugim rozpościerała się gęstniejąca poszarpana ciemność. Miecz w ręku wydawał mu się bardzo ciężki. Ale...

– Hooo! – ryknął i zaszarżował na nich.

Nadział jednego jak na rożen, stratował drugiego, trzeciego wyrzucił wysoko w powietrze. Obracając się, kolejnemu rozbił głowę i zmiażdżył klatkę piersiową uderzeniem pięści, kolejnego przeciął niemal na pół. Jego miecz złamał się, ale złapał dwóch Arzunian i rozbił im czaszki o siebie.

Biegli na niego wszyscy, ale potem odwrócili się w drugą stronę i zaczęli uciekać. A on stał, przyglądając się jak znikają i śmiał się. Jego śmiech wypełniał całe miasto, odbijając się od czarnych ścian, zagłuszając świst startującego statku, i zalewając jego wargi krwią. Otarł usta wierzchem dłoni, splunął i położył się na ziemi.

– **W**ydostaliśmy się, Basilu. – Helena przytuliła się do niego, cała drżąc w jego ramionach, a on nie wiedział, czy był to śmiech, czy narastający w jej gardle szloch. – Jesteśmy już daleko, bezpieczni, i możemy zanieść wieści do Sol, a oni już na dobre oczyszczą Czarną Mgławicę.

– Taaa. – Przetarł sobie oczy. – Chociaż wątpię, czy Marynarka cokolwiek tam znajdzie. Jeżeli ci Arzunianie mają chociaż odrobinę oleju w głowie, przeniosą się na różne planety obrzeża, rozproszą się, i spróbują przedostać się jako nieszkodliwi humanoidzi. Sądzę jednak, że nie ma to żadnego znaczenia. Ich potęga została złamana.

– A my wracamy do ciebie, do domu, Basilu, połączymy razem Ansa i Terrę, i będziemy mieć tuzin dzieci...

Skinął głową.

– Pewnie, pewnie.

Wiedział jednak, że on nie będzie mógł zapomnieć. W czasie zimowych nocy, kiedy gwiazdy świecą ostro i zimno, na kryształowo czarnym niebie, będzie... Czy będzie mógł wyjść z domu i na nie spoglądać? Czy też może zaciągnie nad sobą dach i będzie czekać na świt? Jeszcze tego nie wiedział.

Pomimo tego... nawet jeżeli ten wszechświat był mocno odległy od tego by można nazwać go najlepszym z możliwych, to miał w sobie dostatecznie wiele, aby człowiek mógł być zadowolony ze spędzanych na nim dni.

Cichutko pogwizdywał pod nosem, czując jak przez głowę przelatują mu słowa:

*Unieś wysoko szklankę,
całusem żegnaj kochankę,
(Życie jest piękne; mój przyjacielu, życie jest piękne, nasze życie jest piękne)
Bo wyruszamy,
bo wyruszamy,
bo wyruszamy na niebo Terran! Niebo Terran! Niebo Terran!*

Niemal natychmiast pojawiła się myśl, że przecież to może być również piosenka braterstwa.

KONIEC